MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 1 WARSZAWA, 1 STYCZNIA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

PAŃSTWO NARODOWE

O USTROJU państwa można mówić z rozmaitych punktów widzenia.[1]) Pospolicie myśli się, że stawiając kwestję ustroju państwa należy odpowiedzieć na pytanie, czy dane państwo ma posiadać ustrój republikański czy monarchiczny. Tak jednak nie jest, a raczej być nie powinno. Monarchja czy republika—to są kwestje dalsze, pochodne i przyjęcie jednej z tych alternatyw nie potrzebuje być koniecznie aksjomatem politycznym dla narodu.

Pierwsze i najistotniejsze pytanie, które winniśmy sobie postawić przy rozważaniu spraw ustrojowych, jest następujące: jaki ma być charakter państwa polskiego? Formułując konkretniej: czy Polska ma być państwem narodowem?

Co to jest państwo? W języku potocznym wyraz państwo rozumie się zwykle bądź jako samo terytorjum państwowe, bądź też jako zorganizowane pod jedną władzą i na danem terytorjum społeczeństwo ludzkie. Państwo jednak ma inne jeszcze znaczenie, o którem nie należy zapominać przy rozważaniu pytania, jakim ma być jego charakter. P a ń s t w o j e s t n a r z ę d z i e m d o s p r a w o w a n i a w ł a d z y. Wyobraźmy sobie historyczne tworzenie się państwa. Najwyższy władca, wódz, książę, który tym lub innym sposobem zdobył sobie moc i prawo rozkazywania grupie ludzi sobie poddanych, sprawuje nad nimi rządy bądź sam bezpośrednio, bądź za pośrednictwem kilku czy kilkunastu swoich pomocników. Jest to najpierwotniejsza forma państwa. Owi pomocnicy księcia, którzy są jego władzy ramieniem, są w stosunku do ludności podwładnej państwem i stanowią zawiązek przyszłej skomplikowanej organizacji państwowej. Otóż czy tych pomocników, tych wykonawców władzy najwyższej jest pięciu czy pięćset tysięcy, czy funkcje ich są mniej lub bardziej zawiłe, znaczenie ich pozostaje niezmienne. Stanowiąc państwo, są oni narzędziem najwyższego władcy.

W czyim ręku spoczywa najwyższa władza nad społeczeństwem państwowo zorganizowanem? To się różnie układało w poszczególnych okresach czasu i u poszczególnych ludów i narodów. Bywało dawniej, a bywa tak i w dzisiejszej dobie, że dzierżycielem władzy najwyższej jest bądź jednostka (monarchja), bądź grupa jednostek (oligarchja), bądź cały naród. Przemian ewolucyjnych czy rewolucyjnych, jakie pod tym względem notuje historja ludzkości, nie możemy tutaj opisywać, ani rozważać. Wystarczy zaznaczyć, że najpowszechniejszym rezultatem, do którego doprowadziły owe przemiany historyczne, jest zdobycie władzy najwyższej przez naród.

Przejście władzy zwierzchniczej do narodu jest w Polsce zjawiskiem nie najnowszej doby. Już w XIV wieku naród polski wysuwa się na widownię polityczną jako czynnik decydujący o losach państwa. Przypomnijmy sobie tylko takie fakty, jak zjazdy koszyckie, wprowadzenie Jadwigi na tron, małżeństwo jej z Jagiełłą i Unja Polski z Litwą. W tym okresie naród występuje jeszcze jako oligarchja możnych panów, wielkich statystów. Wkrótce jednak, bo już w w. XV, szczególnie za panowania Kazimierza Jagiellończyka wydobywa się na wierzch wielka masa szarej dotąd ale ambitnej braci szlacheckiej, która zdobywając stopniowo prawne stanowisko władcy, staje się narodem w dzisiejszem prawie znaczeniu tego wyrazu. Odtąd, politycznie rzeczy biorąc, niema w Polsce poddanych króla, są tylko wolni obywatele, z których każdy ma prawo marzyć nawet o koronie. Poddanymi są w Polsce ludzie z tytułu prawa prywatnego nie publicznego (chłopi pańscy), ale ci nie wchodzą w skład narodu. Naród ówczesny to szlachta, która okupuje ten przywilej służbą publiczną i służbą wojenną dla obrony Majestatu, całości i niepodległości Rzeczypospolitej. Jako władca dotrwał naród polski do czasów upadku Rzeczypospolitej, rozbiorów i niewoli. Dlaczego, w jakiej mierze, w jaki sposób przyczynił się naród polski do tej katastrofy, tego na tem miejscu omawiać nie będziemy. Konstytucja 3 Maja była istotnie testamentem narodu, który zrozumiał potrzebę i znalazł środki naprawy, ale który już nie miał czasu ani możności do jej uskutecznienia. W niewoli pod jarzmem zaborców nietylko się potrafił utrzymać, ale pomny wskazań owego testamentu, rósł w liczbę i wpajał w coraz szersze kręgi poczucie swej niezniszczalności i konieczności wyzwolenia. Kiedy po wojnie światowej Polska stała się znowu niepodległem państwem, naród polski stanął w niej znów z tradycyjnym postulatem swej władzy zwierzchniczej. Pierwsza konstytucja odro-

---

[1]) Artykuł ten jest fragmentem większej całości, która niebawem ukaże się jako książka.

dzonej Polski, uchwalona przez Sejm 27 marca 1921 r., postanowiła w art. 2, iż władza zwierzchnicza „należy do Narodu“. Dziś zatem w myśl obowiązującego prawa, naród polski dzierży w swojem ręku najwyższą władzę, którą po cudzoziemsku określamy jako suwerenność; naród przedstawia nazewnątrz udzielność państwową, a nawewnątrz zachowuje zwierzchnictwo nad wszystkiem,co się na jego terytorjum państwowem znajduje.

Zestawmy obecnie to, co było wyżej powiedziane. Państwo zatem jest narzędziem najwyższej władzy. Narzędzie to więc musi się znajdować w ręku tego, kto tę najwyższą władzę posiada. W Polsce dzierży ją naród. Z logiczną konsekwencją wynika, iż przy tym stanie rzeczy państwo nasze może być tylko państwem narodowem. Znaczy to, iż państwo powinno służyć do osiągania celów, ideałów oraz obrony interesów narodu. Znaczy to także, iż polityka polska, dla której wykonywania istnieje państwo, powinna być polityką narodową.

Postarajmy się jednak bliżej wyjaśnić, co pod terminem państwo narodowe należy rozumieć. Powiedzieliśmy, że państwo takie ma służyć celom, oraz interesom narodu. Czy jednakże wiemy, co to jest naród?

Nie chciałbym nużyć czytelników szczegółowem omawianiem teoretycznej definicji narodu. Ciekawych odsyłam do specjalnych dzieł, traktujących o tym przedmiocie. Pozwolę sobie tylko zacytować parę zdań z krótkiego wywodu, który pod tytułem „Naród“ pomieściłem w moim „Słowniku politycznym“.[2]) Piszę tam co następuje: „Naród—jest to związek natury politycznej, który się ustala w pewnym zespole ludzi przez wykonywanie w ciągu dłuższego okresu czasu wspólnej, czynnej i swoistej roli historycznej. Ponieważ taka rola historyczna może być urzeczywistniana jedynie przy istnieniu własnej organizacji państwowej, przeto niepodległość państwowa jest warunkiem tworzenia się narodu. Bez niepodległości historycznej niema własnej historji, a bez własnej historji niema narodu“. Z powyższych zdań i z dalszych ich omówień w „Słowniku politycznym“ podkreślam tutaj tezy zasadnicze, potrzebne nam dla zrozumienia zagadnienia ustroju Polski. A więc naród to związek polityczny a nie etniczny. Związek etniczny zwiemy narodowością a nie narodem. Naród urabia się w ciągu niepodległego bytu państwowego, w ciągu tworzenia własnej historji.

A teraz postawmy pytanie: czy naród a ogół obywateli, mających tę samą przynależność państwową — to jest to samo, czy nie? Odpowiadam: czasami tak, ale częściej — nie. Dając taką odpowiedź mam tu na myśli przedewszystkiem narody i państwa naszej starej Europy. Jeśli weźmiemy np. Francję, to możemy powiedzieć, że tam pojęcie narodu pokrywa się prawie zupełnie z pojęciem ogółu obywateli Republiki francuskiej. W długim okresie niepodległego bytu, w historji wspólnych walk o wielkość i potęgę Francji, z różnych szczepów i narodowości, z odrębnych ziem i prowincyj wytworzył się jeden psychicznie nierozerwalny związek polityczny narodu francuskiego. Dziś bretończycy, baskowie katalończycy, alzatczycy mówią każdy własnem nie francuskiem narzeczem, zachowują swoją odrębność obyczajową i lokalny patrjotyzm, ale wszyscy są ponad tem gorącymi patrjotami francuskimi. A jak jest w Polsce? Rozważając to pytanie, pamiętajmy o tem, że przeżyliśmy długi, bo prawie 150 lat trwający okres niewoli. W chwili utraty naszego niepodległego bytu naród polski w ówczesnym swoim składzie miał już cechy jednolitego związku politycznego. Różnice etniczne między polakami, litwinami, rusinami i nawet niemcami pruskimi czy gdańskimi nie przeszkadzały wspólnemu poczuciu polskiego patrjotyzmu. Każdy szlachcic ówczesnej Rzeczypospolitej, czy siedział pod Poznaniem, czy pod Wilnem lub Lwowem, czy pod Kamieńcem Podolskim, służył jednej Ojczyźnie — Polsce. Konstytucja 3 Maja rozszerzyła skład narodu wciągając doń stan mieszczański i przygotowując stan włościański do przyszłej służby publicznej, Gdyby się była wówczas nie przecięła nić naszej niepodległości państwowej, to prawdopodobnie rozwój narodu poszedłby torami wspólnej idei politycznej i wspólnego patrjotyzmu polskiego. Mielibyśmy w rezultacie w dzisiejszym momencie naród jednolity, któryby tak jak we Francji obejmował prawie cały ogół obywateli państwa.

Ale po rozbiorach rządy państw zaborczych uczyniły wszystko, co mogły, aby do tego rezultatu nie doszło. Czyniły one systematyczne wysiłki, aby nie dopuścić do zbliżenia i zjednoczenia warstw niższych, ludowych, narodowo nieuświadomionych z tą warstwą wyższą, która polski naród reprezentowała.

Starały się podburzać etnicznie niepolskie narodowości: litwinów, rusinów, białorusinów przeciwko Polsce i wpajać w nich dawno zatarte poczucie odrębności i separatystyczne dążności. Chociaż naród polski ostał się w niewoli i nawet znacznie się rozszerzył, to jednak antypolskie wysiłki rządów zaborczych nie pozostały bez skutku. Masy ludności litewskiej, białoruskiej i ruskiej pozostały wprawdzie przy swem tradycyjnie wyrobionem przekonaniu, że do panowania nad niemi Polska ma lepsze prawo, niż Moskwa lub Austrja. Powstało jednak wśród nich ognisko prowodyrów i agitatorów separatystycznych, którzy przepojeni nienawiścią i fałszując historję, pracowali gorliwie nad zniszczeniem wiekowego związku swych jednoplemieńców z polską Ojczyzną. Tego stanu rzeczy nie wzięli pod należytą uwagę ci, którzy się zabrali do wewnętrznej budowy odrodzonego państwa polskiego. Zamiast łatwemi sposobami zatamować nikłe zródło haseł antypolskich i separatystycznych, uchwalono konstytucję ultrademokratyczną i taką ordynację wyborczą, która wpuściła na widownię polskiego życia politycznego zdecydowanych wrogów Polski.

Tak więc z wyżej przytoczonych powodów w dzisiejszej Polsce naród nie obejmuje ogółu obywateli państwa. Jakież z tego wynikają konsekwencje? Naród, jak ustaliliśmy, jest dzierżycielem najwyższej władzy w państwie. Ponieważ władza najwyższa czyli suwerenność jest z natury swojej niepodzielna, wobec tego tylko jeden naród może władzę taką posiadać. Że w Państwie Polskiem może nim być tylko i wyłącznie naród polski, to chyba nie wymaga ani tłumaczenia, ani uzasadnienia. Gdyby nawet w obrębie naszego państwa, obok polskiego istniały inne równoznaczne z nim narody, to i wówczas jeden tylko naród polski miałby prawo i obowiązek decydowania o losach państwa, które zwie się i jest Polską. Nie można przecież wyobrazić sobie takiego absurdu, ażeby jedno państwo było narzędziem w ręku kilku władców, mających rozbieżne, a nawet sprzeczne cele i mogących w różny sposób decydować o jego losie. Gdzie kucharzy sześć, tam niema co jeść, powiada polskie przysłowie. Rządzenie takiem państwem byłoby niemożliwością lub politycznym nonsensem. Jeżeli były państwa, w których skład wchodziły odrębne narody, to mogły one istnieć dlatego, że władza najwyższa czyli suwerenność była w ręku absolutnego monarchy. Wówczas panowała jedna wola,

[2]) Joachim Bartoszewicz: „Podręczny słownik polityczny“ Warszawa. Nakł. księgarni Perzyński, Niklewicz i Ska.

jedna władza—monarchy; wobec niego naród czy narody stanowiły jeden ogół poddanych. Rozbieżność czy nieporozumienia, jakie mogły zachodzić między poddanymi należącymi do różnych narodów, były rzeczą podrzędną i nie grały większej roli, niż te przeciwieństwa, jakie w dzisiejszych nie absolutnie rządzonych państwach, zachodzą np. między producentami i konsumentami lub między robotnikami i fabrykantami. Monarcha mógł regulować te przeciwieństwa, kierując swoje państwo ku celom, jakie sobie zamierzył. Tak było za czasów monarchów absolutnych, obecnie jednak miejsce absolutnego monarchy zajął naród. To też jeśli nie ma dojść do anarchji i chaosu, musi naród kierować swojem państwem jako absolutny władca. Wszyscy obywatele państwa, wszyscy, co są do niego formalnie przynależni, są poddanymi narodu. Ci z nich, którzy są członkami narodu, którzy wchodzą do tego panującego związku politycznego, poddają się woli narodu aktem własnej dobrej woli; ci zaś, którzy są poza narodem, muszą poddać się tej woli narodu tak, jak się dawniej poddawali woli absolutnego monarchy. Taką jest właśnie nieubłagana konsekwencja faktu, że naród zdobył sobie władzę suwerenną: członkowie narodu i ci obywatele, którzy doń nie wchodzą pod względem politycznym, nie mogą stać na równi.

Tymczasem dzisiejsza rzeczywistość przeczy tej konsekwencji. Hasło równouprawnienia, całkowicie słuszne w dziedzinie prawa prywatnego, ochrony sądów i urzędów oraz w dziedzinie kulturalno-obyczajowej, zostało rozciągnięte do praw politycznych w sposób szablonowo-doktrynerski, bez uwzględnienia formy rządów i stosunków ludnościowych. Polska odrodzona przyjęła bez zastrzeżeń pełne równouprawnienie polityczne swych obywateli. Do pewnego stopnia była ona do tego zmuszona przez traktat o mniejszościach etnicznych i religijnych, który jej został narzucony przez państwa sojusznicze przy podpisywaniu traktatu wersalskiego i w którego powstaniu żydzi jako gorliwi promotorzy równouprawnienia politycznego tak poważną odegrali rolę. Jednak radykalnie demokratyczna konstytucja, którą sobie Polska nadała, zwiększyła ze swej strony niepomiernie niebezpieczeństwo, wynikające z zastosowania postulatu politycznego równouprawnienia. Doszło wskutek tego do rzeczy, które urągają wprost zdrowemu rozsądkowi.

Czyż nie słyszeliśmy w polskim Sejmie przemówień, w których „przedstawiciele narodu" wyraźnie deklarowali się przeciwko Polsce i za oderwaniem się pewnej części ludności od naszego państwa? Cóż może być bardziej monstrualnego? Czy jest dopuszczalne, aby tacy ludzie, uchodzący formalnie za przedstawicieli narodu, a będący wrogami Polski, mogli w pewnej mierze i w pewnym momencie decydować o losach państwa, do którego się nie chcą przyznać? A przecież to jest zupełnie możliwe w dzisiejszej Polsce, w myśl jej Konstytucji i przy nieszczęśliwym składzie parlamentu, spowodowanym lekkomyślnie radykalną ordynacją wyborczą. Państwo narodowe — a jak widzieliśmy, jest w założeniu narodowem każde państwo z chwilą przejścia suwerenności do narodu — nie może pozwolić na takie ryzykowne absurdy, jeśli nie chce zginąć smiercią samobójczą. Nie może ono stawiać na równi patrjotów z wrogami narodu i państwa, a nawet z takimi, którzy nie żywiąc specjalnie wrogich uczuć, nie chcą się przejąć kierowniczą ideą narodu. Polska jest w wyjątkowo trudnej sytuacji: nie zespoliła ona jeszcze ogółu swych obywateli przy idei polskiej Ojczyzny. Wskazaliśmy już na to wyżej, że niefortunną tę sytuację posiada Polska wskutek długotrwałej niewoli, dezorganizującej akcji mocarstw zaborczych i własnych błędów rządzenia. Polska odrodzona ma jednak możność poprawienia swej struktury narodowej. Ci, co dzisiaj są poza narodem, mogą jutro stać się jego członkami. Na to nie potrzebują oni wyrzekać się swego pochodzenia, wyznania, języka, swych miejscowych obyczajów i przywiązań. W sławnej naszej przeszłości liczymy wszak tylu patrjotów polskich, którzy byli z pochodzenia rusinami, litwinami, niemcami, czechami, którzy mówili zarówno dobrze popolsku jak i swoim językiem rodowitym i którzy byli innego, nie katolickiego wyznania. I dziś także w tym kierunku droga jest otwarta. Naród — to nie związek etniczny, lecz polityczny. Aby stać się członkiem narodu polskiego, potrzeba tylko jednej rzeczy: przejąć się jego ideałem politycznym i pracować dla dobra, chwały i potęgi Polski.

W rezultacie więc stwierdzamy co następuje: 1-o, Polska jest prawnie państwem narodowem, albowiem władza najwyższa należy do narodu i 2-o, w Polsce, będącej państwem narodowem, wszyscy obywetele a nawet wszyscy mieszkańcy państwa podlegają woli i władzy narodu polskiego.

To są aksjomaty, które powinny być jasne dla wszystkich i o których zapominać nikomu nie wolno. Jakie z tych aksjomatów wynikają wskazania polityki praktycznej, o tem tutaj mówić nie będę. Wspomnę tylko, że urzeczywistnienie tych wskazań nie może w żadnym razie doprowadzić do tak nieracjonalnej sytuacji, aby w Polsce Polacy skazani byli na dolę uciśnionych i aby, jak ongi pod obcym zaborcą, bronić musieli polskości wysiłkami jednostek i społeczności.

JOACHIM BARTOSZEWICZ

REFORMA KODEKSU WŁOSKIEGO

LATA, poprzedzające bezpośrednio wybuch wojny światowej, były okresem, w którym kultura narodów germańskich, nie bez pomocy reklamy, szerzonej przez potężną, jak nigdy przedtem, masonerję uważana za ostatni wyraz postępu. Powszechnie i bezapelacyjnie sławiono gruntowność badań, obfitość materjału naukowego, doskonałość metod, stosowanych w uczelniach i w dziełach naukowych niemieckich, i cały ten techniczny niejako rozwój nauki i kultury imponował i olśniewał do tego stopnia, iż niemal zupełnie zaprzestano zdawać sobie sprawę, że kultura materjalna nawet wysoka, niekoniecznie musi iść w parze z odpowiednią wysokością kultury duchowej i że nieprzebyta przepaść leży pomiędzy duchowością, wykształconą na starej łacinskiej kulturze katolickiej, a duchowością, urobioną na pierwiastkach kultury protestancko-germańskiej.

Dopiero po wojnie nastąpiło pod tym względem pewne otrzeźwienie, i tu i ówdzie poczęto otrząsać się z dotychczasowego entuzjazmu dla dzisiejszej kultury protestancko-germańskiej, która niezaprzeczenie przyniosła znaczny postęp w naukach, zwłaszcza technicznych,

zajmujących się ulepszeniami w dziedzinie materjalnej, ale zato tam, gdzie chodzi o urobienie poglądu na świat, a co za tem idzie także moralności społeczeństw, nietylko nie wpłynęła dodatnio, lecz pod wielu względami przyniosła cofnięcie się, obniżenie typu życia indywidualnego i zbiorowego, dochodząc nieraz do objawów prawdziwego zdziczenia.

Wpływy germańskie we Włoszech, zwłaszcza północnych, były w latach przedwojennych bardzo silne i szły w parze z ekonomicznym zalewem kraju, co w znacznym stopniu było źródłem początkowej słabości Włoch w latach 1915 — 1918. Podbojowi ekonomicznemu Włoch położyła kres wojna, ale podbój kulturalny przetrwał i szerzył się w dalszym ciągu z dwóch przedewszystkiem ognisk, a mianowicie: ze szkoły i sądownictwa. Mussolini, doszedłszy do władzy, ujął trafnie i głęboko istotę zagadnienia, to też niemal pierwszym aktem rządu faszystowskiego była reforma szkolna, w której odrzucono wszystko, co wpływało na osłabienie ducha starej cywilizacji łacińskiej wśród młodzieży włoskiej.

Wydziały prawne na uniwersytetach był tym ośrodkiem, na którym wpływy germańskie szczególniej zaważyły, a jednocześnie były to także wydziały, na które młodzież, szukająca karjery w życiu publicznem, tłumnie się zapisywała. Ostatnie przed przewrotem 1922 roku Izby włoskie składały się przeważnie z prawników, naturalnym też porządkiem rzeczy prawnicy zapełniali urzędy w administracji i w sądownictwie. Formowana na podstawie protestancko-germańskiego poglądu na świat umysłowość prawnicza wywierała niebezpieczny wpływ na rozwój sądownictwa, które coraz częściej stawało się jakby jakąś stacją doświadczalną dla praktycznego wypróbowania różnych systemów filozoficznych, poczęło bawić się w utopje pseudo-humanitarne, deterministyczne i t. p. i przez daleko posuniętą pobłażliwość dla złoczyńców przyczyniało się do wzrostu przestępstw i do upadku obyczajów w kraju. Kodeks karny, który obowiązywał we Włoszech, był dziełem typowego przedstawiciela umysłowości liberalnej, Zanardellego, i poza innemi wadami i brakami był w dodatku tak rozciągliwy i mglisty, iż nadawał się do nader dowolnej i szerokiej interpretacji. Dogadzał on z tego powodu pewnemu typowi adwokatów, którzy z takiego stanu rzeczy mogli nieraz łatwo ciągnąć korzyści. Nie bez racji też kodeks Zanardellego zwano żartobliwie „kodeksem dla adwokatów".

Faszystowską reformę kodeksu, która okazała się konieczną, Mussolini zaczął od zmiany kodeksu karnego. Do dzieła tego przystąpiono z powagą i głębokiem zrozumieniem jego doniosłości w życiu moralnem narodu. Głównym twórcą projektu nowego kodeksu karnego jest minister sprawiedliwości, Alfred Rocco, pod którego kierunkiem pracowała w ciągu roku specjalnie stworzona komisja, pozatem zwrócono się do wszystkich uniwersytetów państwa, Trybunałów Apelacyjnych i rad adwokackich, zasięgając ich zdania i rady. Projekt, ogłoszony drukiem, został w zasadzie zaaprobowany przez Mussoliniego, lecz zanim będzie przedstawiony do podpisu królewskiego przejdzie jeszcze przez obrady komisji, złożonej z najbieglejszych prawników, która ma obowiązek zbadać go i porobić uwagi. Komisja ta ma jednakże tylko głos doradczy, to też projekt nie ulegnie prawdopodobnie wskutek jej prac większym zmianom.

Główną cechą charakterystyczną nowego kodeksu jest, że zrywa on radykalnie z metodami i teorjami, które zakradły się do sądownictwa włoskiego dzięki wpływom obcym i nawraca na drogę starych tradycyj łacińskich, które sprawiły, iż prawodawstwo rzymskie tak wielki wpływ wywarło na rozwój prawodawstwa wszechświatowego. Prawdziwa i głęboka znajomość natury ludzkiej, nie dająca omamić się utopją nieodpowiedzialności złoczyńców, wpłynęła na obostrzenie kar i surowszy wymiar sprawiedliwości celem powstrzymania szerzącej się pod dawnemi rządami demoralizacji społecznej.

Minister Rocco, przemawiając na posiedzeniu komisję, na której czele stoi Generalny Prokurator Sądu Kasacyjnego, Apiani, dał krótkie sprawozdanie z metody pracy, jakiej się trzymano przy układaniu projektu kodeksu, zaznaczając, iż projekt ten nosi wybitnie odrębny, włoski charakter. Podstawy na których oparł się w pracy nad ułożeniem kodeksu, sformułował minister Rocco w 7 punktach, na które zwrócił specjalną uwagę komisji. Oto ich streszczenie:

1-o — Zniesienie w praktyce skutków sprzeczności, zachodzących wskutek starcia dwóch szkół: prawnej i antropologiczno-socjologicznej, podkreślając odpowiedzialność jednostki na podstawie rozumu, woli i sumienia, kierującego aktami ludzkiemi, a tem samem przywracając karze jej sankcję najwyższą, sankcję moralną, nie zaniedbując przytem środków, mogących zapobiec przestępczości.

2-o — Zaostrzenie wymiaru kar, zwłaszcza za ciężkie zbrodnie. Ilość krwawych zbrodni we Włoszech nakazuje skończyć z systemem łagodności i nowy kodeks za niektóre wypadki zbrodniczego okrucieństwa wprowadza karę śmierci.

3-o — Wzmocnienie ochrony Państwa w osobach jego przedstawicieli, zarówno nawewnątrz jak i nazewnątrz kraju i wprowadzenie kary za niektóre przestępstwa przeciw Ojczyźnie, pominięte lub zlekceważone w kodeksie dotychczas obowiązującym.

4-o — Wzmocnienie opieki nad rodziną i moralnością publiczną (np. za przestępstwo cudzołóstwa nowy kodeks podnosi karę do 3 lat więzienia).

5-o — Roztoczenie bardziej energicznego nadzoru nad przestępstwami, powodującemi degenerację rasy (Homoseksualizm, który dotychczas nie był karalny we Włoszech, został obecnie podciągnięty pod surowe kary).

6-o — Otoczenie opieką religji, a w szczególności religji katolickiej.

7-o — Usprawnienie nadzoru nad gospodarką państwową.

Tak przedstawiają się kryterja, któremi kierował się w swej pracy autor projektu kodeksu. W surowości kar i podciągnięciu pod odpowiedzialność wielu przestępstw, które dawny kodeks pomijał, lub lekceważył, znalazła wyraz głęboka troska o istotną poprawę obyczajów w społeczeństwie. Zwłaszcza surowo wymierzane są kary za wszelką propagandę niemoralności, za pornografję, zachęcanie do prostytucji lub jej ułatwianie, za handel żywym towarem, handel narkotykami i tp.; grzywny w tej kategorji przestępstw sięgają częstokroć 20.000 lirów.

Dzieło ministra Rocco obudziło wielkie zainteresowanie nietylko we Włoszech, ale i poza ich granicami. Zaimponowało ono śmiałem stanowiskiem, jakie pod wpływem Mussoliniego w owej reformie, jak zresztą w całej reformie państwowej, zajął faszyzm wobec komunałów pseudo-naukowych, uchodzących za nietykalne zdobycze kultury i postępu, a w gruncie rzeczy niejednokrotnie okazujących się źródłem, z którego sączyła się degeneracja społeczeństw.

Rzym JAN LUBICZ

ROUSSEAU I MICKIEWICZ O USTROJU POLSKI

Francuzi niejednokrotnie obwiniają się, że zbyt łatwo krytykują wszystko, co swoje, i dają w ten sposób obcym argumenty do poniżania Francji. Obwinienie to jest powierzchowne, gdyż Francuz ma olbrzymie poczucie godności narodowej i, choć łatwo staje się malkontentem, poza pewne granice wychodzi rzadko i w duszy daje Francji prym przed wszystkiemi narodami. Z jakim uśmiechem mówi on o rzekomej lekkości i dowcipie sąsiadów z za La Manche, o znajomości psychologji cudzej u Niemców, o komedjanctwie Włocha, o fałszu i chaotyczności Słowianina! Natomiast jeden jest naród na świecie, który przenicował siebie do ostatniej nitki, a narodem tym są Polacy.

Trudno dociec, jakie są psychologiczne źródła polskiego pesymizmu co do siebie, i czy samokrytyka ta wynika jedynie z porównania naszej cywilizacji z cywilizacją zachodnią i ze stwierdzenia polskiego nieprzystosowania do warunków i wymagań życia nowożytnego, w każdym razie jest ona dzisiaj w Polsce powszechną i historycznie da się stwierdzić tak daleko, jak sięga literatura. Chyba niema na świecie przykładu drugiego narodu, któryby dawał taką przewagę literaturze satyrycznej. I to od początku do końca swych dziejów. Pierwsze oryginalne dzieło literatury polskiej jest satyrą — jest to Rejowska „Krótka Rozprawa między trzema osobami, panem, wójtem a plebanem" (1543)— ostatnie dzieła niepodległej Polski, literatura polityczna i publicystyczna czteroletniego sejmu, paszkwile Węgierskiego i Zabłockiego, satyry Naruszewicza, Niemcewicza i innych — są wszystkie oskażeniami ustroju polskiego i wypływających stąd nadużyć i usposobień. Cały zaś ciąg między temi dwoma momentami wypełniony jest zawsze i ciągle satyrą. Sam Kochanowski pisał „Satyra", przygodnym satyrykiem był Andrzej Krzycki („Skarga religji i Rzeczypospolitej"), satyrykami byli Bielski, Górnicki („Rozmowa Polaka z Włochem"), Sebastjan Klonowicz, satyryczna była cała ogromna i tylko specjalistom znana literatura mieszczańska XVII wieku. Nie brakło ludzi potężnego uczucia, uderzających w nutę oburzenia i patrjotycznej troski. Proroczych akcentów dobył, zamykając Wiek Złoty, Skarga, aby otworzyć oczy Polakom na wady ich ustroju i charakteru; piętnował brak miłości ojczyzny, żądał, jak później Konarski, miłości kraju bezinteresownej i twórczej. Takież akcenty, tragiczne raczej, niż satyryczne, brzmią w Starowolskiego „Reformacji obyczajów polskich" i „Lamencie utrapionej Matki, Korony Polskiej już, już konającej, na syny wyrodne, złośliwe i nie dbające na Rodzicielkę swoją". Wielki dumą narodową i miłością kraju Wacław Potocki pisze równolegle satyry, piętnujące anarchję polityczną i ucisk chłopów, oraz elegje patrjotyczne. Nawet wesoły, pogodny Wespazjan Kochowski smaga grzechy swego społeczeństwa i przeklina złych synów ojczyzny. Natomiast największy satyryk XVII w., Krysztof Opaliński, szydzi i drwi *con amore*, z obrażonej miłości własnej i antypatji do kraju. Opluł on Polskę i zelżył jak nikt inny nie potrafił, rad był uciec z niej jak najprędzej i pod cudzem niebem lepszych użyć wczasów. U większości zresztą poza satyrą kryła się prawie zawsze troska o kraj i myśl naprawy, jak tego dowodzi i wielka, przygniatająca literaturę ilość dzieł dydaktycznych i politycznych. Specyficzną cechą literatury polskiej okazuje się przerost literatury społecznej nad piękną.

W literaturze porozbiorowej stosunek ten do pewnego stopnia się utrzymuje, nawet gdy chodzi o takiego mistrza słowa jak Słowacki, który, znajdując dla Polski bardzo gorzkie wyrazy, wierzył, że są w niej siły i treść duchowa na największy z narodów świata i stworzył szereg przepięknych postaci dawnej Polski. Mickiewicz zas, w młodości filomata wileński, dążenie społeczne zachował zawsze. W pisarzach polskich przejawiał się naogół bardzo żywy stosunek do społeczeństwa i bardzo silna tendencja reformatorska. Równie silna objawiła się w Europie całej dopiero w XVIII wieku, przed Wielką Rewolucją.

Mówiąc schematycznie, dwa w Polsce były prądy myśli reformatorskiej: prąd żądający ładu, władzy, dyscypliny społecznej, zmniejszania przedziałów społecznych, zatem zupełnej przebudowy ustroju państwowego i prąd drugi, uznający zasadniczo wolność i równość, przejawioną w ustroju polskim, za wyraz bardzo wysokiego stanu cywilizacyjnego i za psychologiczny warunek wysokiego rozwoju moralnego i obywatelskiego, i chcący tylko ujęcia tej wolności w pewien system i rozszerzenia jej na ogół obywateli, aby na tych podstawach wytworzyć typ państwa nowożytnego.

Pierwszy zupełnie wykończony plan reformy na podstawach wolnościowych dał jednakże nie Polak, ale genewczyk J. J. Rousseau [1]). Wezwany, jako autor „*Contrat Social*", przez hr. Wielhorskiego do nakreślenia planu nowego ustroju państwa polskiego, Rousseau zaczął od tego, że skrytykował plany wzmocnienia władzy królewskiej na wzór zachodni, przez poprawę finansów i prawne owładnięcie swawolą szlachecką. „Dzielni Polacy"—pisał—„uważajcie! uważajcie, abyście, chcąc mieć za dobrze, nie pogorszyli waszego położenia. Myśląc o tem, co chcecie osiągnąć, pamiętajcie o tem, co stracić możecie. Poprawcie, jeśli można, nadużycia waszego ustroju, ale nie pogardzajcie tym ustrojem, on was bowiem uczynił tem, czem jesteście". I dalej „to w łonie właśnie tej nienawistnej wam anarchji uformowały się wasze patrjotyczne dusze, odrzucające jarzmo od siebie" i „Spokój i wolność wydają mi się niezgodne z sobą: trzeba wybierać". Dzisiaj, tłumaczył, umysły są bardziej zafrasowane złemi, niż dobremi, stronami ustroju polskiego; obawiam się, że czas przyjdzie, gdy ujrzą dobre strony, lecz wtedy, gdy już będą stracone.

Rousseau pisał w okresie, gdy waliła się absolutyczna monarchja francuska i jej nadużycia wszystkim stały się nienawistne, a hasła wolnościowe, szerzone przez filozofję racjonalistyczną, grupowały koło siebie prawie całą, bardzo już liczną, bogatą i oświeconą burżuazję, dążącą do owładnięcia sterem państwa i stworzenia warunków społecznych dla siebie odpowiednich. Nie był więc psychologicznie przygotowany do zrozumienia problematu Polski, ginącej przez brak dyscypliny społecznej, nie mającej etnograficznej jednolitości i bezpieczeństwa granic, ani też oświeconej klasy średniej, którаby zrównoważyła klasę szlachecką i wniosła nowe siły w państwo. Zdając sobie sprawę z rozszalałej w Polsce prywaty i starając się jej zapobiec, przeniósł jednak żywcem problemat zachodni na grunt polski i sympatją stał po stronie ustroju wolnościowego, pod jakiemikolwiek się formami przejawiał, bardziej, niż przed nieprzyjacielem zewnętrznym, ostrzegając przed despotyzmem władzy wykonawczej. Z drugiej strony, obok stosunków francuskich i szwajcarskich, na pogląd Russa wpływały także reminiscencje z historji starożytnej, być może nawet w oświetleniu Monteskjusza „Uwag nad przyczynami wielkości i upadku Rzymian", gdyż autora tego po kilkakroć wymienia.

---

[1]) *Considérations sur le gouvernement de Pologne et sur sa réformation projetée en avril 1772.*

Pośród narodów nowożytnych tylko w Polsce spostrzegał Rousseau podobieństwo ze starożytnymi, których uwielbiał za ich siłę ducha, surową powagę i patrjotyzm, a przedewszystkiem za formę narodową, jaką swej państwowości, obyczajom, rozrywkom nawet nadawali. Każdy, według niego, naród ma własną indywidualność, własny genjusz, który może zatracić i znieprawić, kształci go zaś i rozwija tylko przez urządzenia społeczne, jemu właściwe i przez obudzenie w szerokich masach poczucia odrębności narodowej i miłości kraju. Tak jak jest, warunki na naród o określonej indywidualności ma, według Russa, w nowożytnej Europie tylko Polska, o ile rozwinie je w odpowiednim ustroju i zawaruje patrjotyzmem obywateli. Dziś, pisze, niema Francuzów, Niemców, Hiszpanów, a nawet Anglików: są tylko Europejczycy, mający te same obyczaje, namiętności, zamiłowania. Wszyscy w tych samych okolicznościach robią to samo, wszyscy mienią się bezinteresownymi a są oszustami, wszyscy mówią o dobru publicznem a myślą tylko o sobie. Ambicją ich jest tylko zbytek, a namiętnością jedyną złoto — gotowi sprzedać się pierwszemu, który ich kupi. Co ich obchodzi, jakiemu panu są posłuszni i jakiego państwa prawom ulegają! Gdziekolwiek jest pieniądz do kradzieży i kobiety do rozpusty, tam ich ojczyzna!

Wpatrzony w swoją maleńką Szwajcarję, obawia się Rousseau wielkości Polski i chciałby obciąć jej granice, a w każdym razie zaleca jej formę federacyjną: chciałby najbardziej, aby każde z trzydziestu trzech jej województw stanowiło jednostkę autonomiczną, przyczem wszystkie byłyby związane węzłem federacji. Zupełnie inaczej rozumował później w stosunku do Włoch Mazzini, który z idei indywidualności narodów wyprowadził ideę wielkiej ich twórczości, do czego była potrzebna jedność i potęga, podczas gdy Rousseau jeszcze stoi wyłącznie na stanowisku dobrego i wygodnego urządzenia się narodu i wcale nie uważa, jak romantycy, jakoby cel narodu był poza nim samym i jakoby spełniał on jakąś „misję“. Jedno jest tylko zdanie w pracy Russa, w którem by można dostrzec zapowiedź „misji“ narodów, a to zdanie końcowego ustępu, w którem życzy Polsce nietylko zwycięstwa nad wrogiem, spokoju, szczęścia, wolności i dobrych obywateli, ale także aby „dała wielki przykład światu“.

W imię zachowania i wzmożenia indywidualności narodowej pragnie więc Rousseau zachować wybitne cechy ustroju polskiego, obmyśla jednak poprawki, mające zabezpieczyć kraj od anarchji, rozsadzającej jego państwowość, i od korupcji. Zachowuje w zmienionej formie i elekcję, i *liberum veto* i konfederację. W pierwszej widzi obronę przeciw despotyzmowi królewskiemu, utrwalającemu się przy przechodzeniu korony z ojca na syna; w drugiem gwarancję wolności, o ileby wchodziło w grę tylko przy okazji uchwalania i odwoływania zasadniczych praw, dotyczących ustroju, nigdy zaś z okazji spraw administracyjnych; w konfederacji wreszcie, wielkiem poruszeniu ludności w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa, zastępującem rzymską dyktaturę, puklerz ustroju polskiego, z warunkiem, że zostaną określone okoliczności w jakich konfederacja byłaby dopuszczalna.

Mówiąc o *liberum veto* krytykuje Rousseau sejmy polskie, sprawujące równocześnie i bez odpowiedniego rozgraniczenia ani odmiennych gwarancyj akty władzy prawodawczej i administracyjnej. *Liberum veto* będzie mogło wchodzić w grę, jak mówiliśmy, tylko na sejmach ustawodawczych. Rousseau żąda przytem wielkiego ryzyka, przywiązanego do posługiwania się niem i mającego zapobiec używaniu go dla prywaty przez ludzi małego ducha. Nad tym, który przerwał swem *veto* bieg sprawy publicznej, sąd nadzwyczajny się odbędzie po upływie pół roku od zdarzenia, i sąd ten skaże go nieodwołalnie na śmierć za zło, jakie zdziałał dla narodu, lub okryje zaszczytami, jeśli swym czynem uchronił naród od nieszczęścia — trzeciego wyjścia nie będzie.

Odmiennego rodzaju, ale jeszcze bardziej skomplikowane poprawki proponuje Rousseau w elekcji, zapobiegając frymarczeniu tronem i wstrząsaniu posadami państwa w czasie bezkrólewia. Królem polskim może być w jego projekcie tylko Polak, a korona szczytem, do którego prowadzić będzie praca i zasługa poprzez wszystkie szczeble życia obywatelskiego. A trzeba wiedzieć, że Rousseau nie cierpiał biurokracji i chciał znieść typ urzędnika, sprawującego swą karjerę w jednej gałęzi administracji. Projektuje, aby wszyscy obywatele, oddający się administracji i sprawie publicznej, przechodzili kolejno przez trzy klasy; przechodzenie z niższej do wyższej uzależnia od wykazanych zdolności i pracy i od potwierdzenia ich przez odpowiednie ciała i opinję. Młodzi, po najmniej trzech latach próby, przepędzonych w charakterze adwokatów, asesorów, zarządców części mienia publicznego i t. d., otrzymują wstęp do klasy pierwszej i tytuł s ł u g p a ń s t w a; z członków klasy pierwszej wybierani będą posłowie na sejm, członkowie trybunału i t. p. Trzykrotnie wybrany poseł lub komisarz trybunału wejdzie do klasy drugiej, oznaczonej tytułem *civis electus*, z której, po odbyciu pewnego okresu w dziale edukacyjnym, wybierani będą senatorowie. Po trzykroć wybrany senator przechodzi do klasy trzeciej, odznaczonej tytułem *custos legum*, z której rekrutować się będą senatorowie dożywotni, kasztelanowie i wojewodowie. Licząc jako początek karjery publicznej lat dwadzieścia, Rousseau oblicza, że do pierwszych godności państwa dojść można około lat czterdziestu, w wieku dojrzałości męskiej i ambicji. Otóż wojewodom otwarta ma być, według projektu Russa, droga do tronu. Natychmiast po śmierci króla zwołany ma być sejm elekcyjny i z nazwisk trzydziestu trzech wojewodów przez losowanie wyciągnięte trzy nazwiska, poczem, na tej samej sesji, aby nie było czasu na przekupstwa, z pośród trzech wylosowanych wybrany król.

Oryginalny i naiwny zarazem projekt, który bierze pod uwagę emulację i przez wskazywanie coraz wyższych stopni ma nadzieję wydobyć z człowieka wszystkie jego siły i zdolności, a nie uwzględnia wcale potrzeby ludzi fachowych i specjalistów, ani zamiłowań i uzdolnień do jednej czynności wyłącznie!

Rousseau przewiduje zarzut, że przeprowadzenie obywateli z jednej klasy w drugą na podstawie aktów uznania ich charakteru i działalności przez poszczególne ciała i opinję, nie okaże się praktyczne, gdyż to uznanie nie zasłudze będzie przyznane, lecz intrydze i wziętości, i na to taką daję odpowiedź: „sądziłem, że mówię do ludu który, nie będąc wolny od wad, ma jeszcze sprężystość i cnotę; i w tym wypadku mój projekt był dobry. Ale jeśli Polska sprzedajna jest i zepsuta do gruntu, napróżno stara się o reformę swych praw i zachowanie wolności. Niech ich się wyrzeknie i podda głowę pod jarzmo.“

Pominąwszy mnóstwo szczegółów, nie mających bardziej praktycznego zastosowania, niż projekt elekcji, nie trudno odgadnąć sensu tych wszystkich zarządzeń. Autorowi chodzi o wytworzenie i utrzymanie, przy pomocy odpowiednich urządzeń, ducha obywatelskiego w Polsce, ducha dumy narodowej i dbałości o sprawę publiczną, aby w temperaturze patrjotyzmu, podniesionego do najwyższych granic, wszystkie wolności polityczne obrócone zostały w kierunku szlachetnej ambicji i twórczej inicjatywy społecznej. Do obywatelskiej wolności i równości wciągnąć pragnie stopniowo

cały naród, nie znosząc przywilejów, ale rozciągając je na szerokie warstwy ludowe. Radzi zacząć od obudzenia w ludzie przywiązania do kraju i od wciągnięcia go w krąg emulacji, mającej, w miarę zasług, dać chłopu wolność i ziemię, mieszczaninowi szlachectwo. Aby to się stać mogło, zbiorą się co dwa lata, w przerwie między jednym sejmem a drugim, w każdej prowincji członkowie klasy drugiej, pomnożeni przez najgodniejszych proboszczów, i to zebranie rozpatrzy potrzeby prowincji i sporządzi listy chłopów, odznaczających się dobrem prowadzeniem gospodarstwa i dbałością o rodzinę: z list tych wybrana będzie każdym razem pewna ich ilość, prawem przepisana, do uwłaszczenia, przyczem właściciel będzie odszkodowany i okryty zaszczytami w miarę, jak większa ilość jego poddanych okaże się godną wolności. Rousseau projektuje dalej uwłaszczanie całych wsi i gmin i rozszerzanie na nie prawa wyborów do sejmików. Tą samą metodą pojedyńczy mieszczanie, a potem całe miasta, podniesione być mają do szlachectwa. Nastąpi podniesienie żywotności wszystkich stanów Polski i związanie ich w jedno nierozerwalne ciało, mające w sobie wielką odporność wobec wroga i wielką siłę moralną.

Nie przypuszczając wcale, aby Mickiewicz opierał się na projekcie Russa, niepodobna nie przeprowadzić analogji między stosunkiem obu pisarzy do ustroju Polski. Mickiewicz także upatruje zasadę polskiego życia w absolutnej i wykluczającej przymus społeczny wolności indywidualnej i w istnieniu w narodzie węzła społecznego natury moralnej, spajającego w jedną całość wszystkie wolne jednostki. Węzeł moralny i absolutna wolność indywidualna, dozwalająca wszelkiej inicjatywy jednostce — oto „wewnętrzna konstytucja narodu polskiego“, która była źródłem wszystkich urządzeń społecznych polskich i dała charakter całej ewolucji polskiego narodu. W pewnej epoce stała się ona źródłem *liberum veto* i elekcji królów, które jednak zdegenerowane zostały wskutek osłabienia węzła moralnego, za czem poszedł upadek państwa.

Węzłem moralnym Polski była idea patrjotyzmu. Patrjotyzm jest, według Mickiewicza, dogmatem istnienia narodu polskiego, dogmatem wzbogacającym się wciąż tą treścią, jaką weń wnoszą wieki rozwoju narodowego.

Na osobach i faktach historycznych wykazuje Mickiewicz w „Wykładach“ stopniowy rozwój idei ojczyzny w Polsce. Gallus, którego uważa za Polaka, odzwierciadla żywy poryw Polaków do życia publicznego, ich zmysł niezależny i swobodny. Elekcja Michała Korybuta, dokonana odruchem instynktu, okazuje poczucie drobnej szlachty polskiej, reprezentującej wówczas masy narodu, że coś innego, niż wyrachowanie i interes, rządzi losem narodów. Przeor Kordecki skupia wszystkie zasadnicze cechy charakteru polskiego, wykształcone przez wiekową ewolucję z podkładu słowiańskiego na gruncie polskich instytucyj politycznych. Jest w nim uczucie i entuzjazm, jest wiara w związek ziemi ze światem ducha, będąca, według Mickiewicza, moralnym fundamentem narodu polskiego. Kordecki który, słuchając swego wewnętrznego poczucia, wytrwał na szańcu na przekór wszystkim siłom militarnym wroga, jest najwyższym typem, do którego podniosła się Polska powstańcza i emigracyjna. Idea polskiego patrjotyzmu pogłębiła się nadzwyczaj w czasach porozbiorowych, wzbogacona krwią ofiarną legjonów i powstań, cierpieniem i tesknotą emigracyjną. Podniesiona do wysokości idei religijnej, zdobyła siłę zerwania materjalnych przeszkód i stworzenia nowego społeczeństwa, stojącego ewolucyjnie na wysokości swego czasu. Tą ideą polską w ostatnim jej wyrazie ma być towianizm. Przez towianizm spełni swą misję wobec ludzkości Polska, będąca reprezentantką całej rasy słowiańskiej, jako że jedyna z ludów tej rasy wyprowadziła z pierwiastków rasowych, o chrześcijaństwo opartych, ustrój państwowy, odpowiadający duchowej naturze człowieka nowożytnego, zbuntowanego przeciw nakazom siły, zdolnego natomiast do ofiarności i inicjatywy w imię miłości kraju.

Niezależnie od tego, jaki jest nasz stosunek do towianizmu, musimy całą, na tle jego wyrosłą, twórczość Mickiewicza uznać jaką wielką inicjatywę, jako szukanie, na gruncie romantycznych poglądów, nowych dróg dla swego narodu.

ANTONINA SZPOTAŃSKA

ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH

LAT 123 mija od chwili, w której obywatel o zdumiewającej ofiarności a wielkiego serca Polak, Józef Maksymiljan hr. Ossoliński, zamiar swój, od lat żywiony, postanowił w czyn wprowadzić i do życia powołać instytucję, mającą spełnić zadania niezwykłe na gruncie Polski porozbiorowej.

W r. 1804 bowiem zawarł z ordynatem Stanisławem hr. Zamoyskim układ co do założenia na użytek publiczny księgozbioru w Zamościu, wówczas mieście akademickiem, na który przeznaczał całą swoją kolekcję książek, manuskryptów, medalów i innych przedmiotów sztuki, a który miał nosić skromną nazwę: Bibljoteki im. Ossolińskich. Potomkowi wiekopomnego Hetmana oddając pod opiekę swoje mienie największe, umyślił byt jego ubezpieczyć z jednej strony materjalnie, przeznaczając niemałą naówczas sumę 160.000 zł. pols. na kupno majątku ziemskiego, któryby stanowił w przyszłości fundusz utrzymania, — z drugiej moralnie i ideowo, stwarzając równocześnie statut urządzenia Bibljoteki, pomyślany wszechstronnie.

Los jednak z początku nie sprzyjał dziełu Ossolińskiego, którego celem było stworzenie ofiarą jednostki ostoi nowej dla duchowej kultury polskiej wtedy, kiedy ona, po upadku politycznym państwa najwięcej ch potrzebowała. Zamość bowiem, oderwany od Galicji i zamieniony w twierdzę, przestał służyć „za siedlisko Muzom“ i być miejscem stosownem na „skład literackich Zbiorów“.

Lecz wtedy okazała się w całej pełni podziwiana zawsze wielkoduszność Ossolińskiego i namiętnie zwiększająca się chęć stawać się coraz bardziej użytecznym społeczeństwu. Nie cofając się więc z oświadczonej w układzie z Zamoyskim „dla narodu i publiczności przysługi literackiej“, zapragnął nie tylko ją utrzymać i pewną uczynić, ale — co więcej — „rozszerzyć i powiększyć założeniem własnej i osobnej bibljoteki“, „z żadnem obcem ustanowieniem nie złączonej, zatem mogącej być doskonalej przystosowaną do właściwego swego celu“. Tem powodowany już nie jedną wieś przeznaczał na to nowe myśli swej urzeczywistnienie, ale wszystkie swoje dobra dziedziczne, w Królestwie Galicji leżące, zapisać postanowił na fundusz Bibljoteki, chcąc, ażeby za dziedzica dóbr pomienionych była przenotowana w księgach krajowych, i warując sobie, żeby na żaden inny bądź prywatny, bądź publiczny cel dobra owe nigdy obrócone nie były, przytem nie poprzestając na tej ofiarze, dodał do niej ogromną, jak na owe czasy, sumę 300.000 zł. pols., otrzymaną od Marcelli hr. Worcellowej w nagrodę poniesionych w jej sprawach trudów i kosztów. Wieczną

trwałość dzieła swego fundator zabezpieczywszy w ten sposób, że wedle woli jego, w razie przypadku, z powodu którego Bibljoteka w istocie swojej podpadłaby zniszczeniu, musiałyby ją wskrzesić i na nowo podnieść dochody funduszowe, i poddawszy je pod opiekę kuratora, zamiar cały ujął w nową „ustanowę“, pomyślaną w r. 1808 a spisaną 1809, i opartą na niej fundację postanowił założyć w mieście Tarnowie.

I tym razem atoli zamiaru tego, mimo całe a gruntowne we wszystkich szczegółach obmyślenie, nie uwieńczył, niewiadomo z jakich powodów, skutek pomyślny; dopiero po latach ośmiu miało to nastąpić zgodnie z zasadami takiego, jak Ossoliński, męża, który wyznawał, że jakkolwiek dawne zamysły nie udały się z powodu okoliczności nieprzychylnych, to przecie pozostało rzeczą jego „obowiązku i czci osobistej“, żeby instytut, który kiedyś „w darze złożył narodowi“, umieszczając go w Zamościu czy Tarnowie, nie pozostał tylko przelotnem życzeniem bez urzeczywistnienia.

Ani na chwilę, choć nad miarę pochłonięty badawczą pracą piśmienniczą i obowiązkami urzędu swego jako prefekt Bibljoteki cesarskiej, nie porzucając ukochanej od młodości idei poświęcenia się naukom oraz zdobywania do rzetelnej ich uprawy środków, przedewszystkiem pod postacią bibljoteki, pomnażał z najwyższą troskliwością i niespożytym trudem bogaty już zbiór książek swoich i rozmyślał o zabezpieczeniu jego przed możliwem kiedyś „rozsuwaniem“, następnie o najpewniejszem i najodpowiedniejszem pomieszczeniu.

Tym razem uwaga jego jako człowieka, doskonale teraźniejszość swoją rozumującego, a jako fundatora, daleko w przyszłość patrzącego, padła na Lwów, stolicę Galicji i tej części Polski gród kresowy.

Postulat pierwszy, dotyczący zabezpieczenia całości zbiorów, Ossoliński spełnił, układając dla swej przyszłej instytucji statut, któremu za podstawę służył niewykonany projekt tarnowski, i w październiku 1816 r. przedłożył cesarzowi Franciszkowi „Ustanowienie familijne Bibljoteki publicznej pod imieniem Ossolińskich we Lwowie“, z prośbą o zatwierdzenie i przyjęcie nad niem protektoratu. I teraz znowu zaznacza on z jednej strony, że motywem głównym jego czynu jest życzenie zbożne: dać narodowi polskiemu „trwałą pamiątkę“, po wieczne czasy świadczącą o jego pragnieniach, żeby i „po śmierci być użytecznym Ojczyźnie i naukom“, — z drugiej, że prośba jego obecna nie jest tylko powtórzeniem czegoś dawniejszego, ale czemś nowem zupełnie, doskonalszem i do warunków czasu bardziej przystosowanem.

Co do drugiego, t. j. pomieszczenia bibljoteki, to podczas pobytu swego we Lwowie, Ossoliński upatrzył za siedlisko dla Bibljoteki pokarmelitański kościół i klasztor, który po większej części w rozwalinach do ruiny ostatecznej doprowadziła klęska pożaru i niepogody, i nabył na licytacji publicznej w marcu 1817 r. za 23.710 zł. m. k., wypłaconych funduszowi religijnemu.

Gdy 4 czerwca t. r. nadeszło potwierdzenie cesarskie, w którem jednym z punktów najgłówniejszych było objęcie opieki nad polskim instytutem przez panującego i jego następców, tudzież polecenie biurokracji, by stosowała się w czynnościach swoich wobec Zakładu do wszystkich w akcie fundacyjnym zawartych postanowień, stanął przed oczyma zdumionemi fakt niezwykły, któremu towarzyszyły gratulacje samego Franciszka I i najwyższych przedstawicieli Rządu krajowego, a przedewszystkiem wielkiemu fundatorowi złożony przez Stanowy Sejm galicyjski hołd, uwieńczony wybiciem na cześć jego medalu.

Fundacja nowa stała się znaczniejszą, gdy z końcem 1823 r. stanęła między Ossolińskim a Henrykiem x. Lubomirskim umowa, której mocą posiadane przez księcia zbiory, ściągające się do sztuk i nauk, miały być włączone do Bibljoteki oddzielnie wprawdzie, ale w ścisłem zawsze z nią połączeniu pod nazwą: „Muzeum im. Lubomirskich“. Następstwem tej umowy był z początku r. 1824 pochodzący t. zw. „Akt dodatkowy do Ustawy fundacyjnej“, wprowadził on podział jednej dotąd kuratorji na dwie: literacką (naukową) i ekonomiczną (samem nazwaniem tłumaczące swoje zadanie), z których o ile pierwsza była od początku duchem dobrym Zakładu, o tyle druga „przeznaczona dla najbliższej, niezamożnej rodziny“ Ossolińskiego, traktowanej przez szlachetnego, łatwowiernego dobroczyńcę niezmiernie liberalnie, powodowała często daleko idące dlań niepowodzenia materjalne; „Akt dodatkowy“ nakładał nadto na kuratora ekonomicznego obowiązek uiszczania, obok zwykłej opłaty 6.300 zł. na rzecz Zakładu, 5% od 20.000 zł., zapisanych na dobrach instytutowych celem tworzenia funduszu rezerwowego.

Od chwili nabycia ruin pokarmelickich, — zatwierdzenia przez cesarza fundacji, — zawarcia układu z Henrykiem x. Lubomirskim, — sprowadzenia wreszcie całej Bibljoteki i wszystkich jej zbiorów do Lwowa, t. j. od r. 1817, 1823 i 1827, zaczyna się żywot Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, trwający dotąd lat 100.

Mimo nieograniczoną jakiemikolwiek względami ofiarność fundatora, który „prowadzony był“ — jak sam pisze — „chęcią przyłożenia się do dobra publicznego nawet nad sposoby udzielone mu od Opatrzności“, i mimo zupełne niemal ogołocenie się z majątku, oddanego w całości narodowi, niewspółmierność jednak między szerokością zadań, wytyczonych Zakładowi, a zasobem wszystkich udzielonych mu przez Ossolińskiego środków materjalnych, od pierwszego zawiązku Instytutu, przez całe lat dziesiątki, prawie że do czasów najnowszych, ciążyła nad nim dotkliwie i nie pozwalała osiągnąć wyżyn, o jakich marzył jego twórca. Ale widocznie na grunt urodzajny narodu padły ziarna wielkiego, dobrego i pięknego czynu fundatora, który nie tylko „rozpoczął“ — jak się wyraża — ale co więcej dokonał „dzieła, na jakie w innych prowincjach nikt się pojedyńczo nie targnął i na które on sam nie mógłby się był ważyć, gdyby był los nie zdarzył, że nie mającemu potomstwa godziło się czułej pociechy szukać w odkazaniu majątku odziedziczonego po przodkach narodowi, któremu winien i wdzięczność za nich i stałe dotrzymywanie okazywanych mu od nich życzliwości“. Za przykładem tym poszło poświęcenie tych, co jako wykonawcy żądań „Ustanowienia“ pracowali w Instytucie w roli urzędników od pierwszych chwil jego powstania niemal do czasów ostatnich, — Ossolineum wolno uważać pod tym względem chyba za gniazdo altruizmu polskiego. Pierwszy jego dyrektor, czcigodny ks. Franciszek Siarczyński, nie posiadający żadnego majątku, wykonywał swoje funkcje trudne i uciążliwe, bo związane z początkami istnienia fundacji, bez jakichkolwiek poborów, i on także, by spełnić § 37 „Ustanowienia“, żądający wydawania przez dyrektora czasopisma naukowego, z własnej kieszeni na nie łożył; inny dyrektor, dr. Adam Kłodziński czyni to samo z wydawnictwem p. t. „Bibljoteka Zakładu im. Ossolińskich“; jeden znowu z najbliższych jego następców,

znamienity historyk-poeta, August Bielowski, inicjator wzmożenia się ruchu naukowego w Zakładzie, własnemi zabiegami i własnym kosztem podejmuje epokowe wydawnictwo „*Monumenta Poloniae Historica*“ i przeciwstawia pracę jednostki zbiorowym tego rodzaju usiłowaniom zagranicznym, żeby tylko przytoczyć „*Monumenta Germaniae*“, rozporządzające miljonowemi środkami i dziesiątkami współpracowników; Gwalbert Pawlikowski, który opiekował się zbiorami Ossolińskiego od jego śmierci aż do odesłania ich do Lwowa, rok z okładem, mimo że miał zajęcie jako sekretarz nadworny, pracował — darmo. Kuratorowie literaccy od Henryka Lubomirskiego poczynając, czy też ich zastępcy, urząd swój, chociaż połączony z wydatkami i pracą, do dnia dzisiejszego pełnią honorowo. W pięknem również świetle przedstawia się ofiarność personelu urzędniczego, który aż do samego prawie początku XX wieku zadowalał się wynagrodzeniem znacznie niższem od pensyj funkcjonarjuszów państwowych czy autonomicznych, działających na podobnych stanowiskach.

Czynnikiem drugim, do pewnego przynajmniej stopnia łagodzącym skutki owej zaznaczonej niewspółmierności celów i środków, była życzliwość społeczeństwa dla Instytutu, które coraz bardziej rozumieć i coraz słuszniej oceniać poczynało doniosłość nie tylko dla jednej prowincji Polski, ale dla całego narodu takiego tworu kulturalnego, społecznego a nawet politycznego, jak Ossolineum. W tym względzie, gdy się myśli o objawach życzliwości, mającej za cel pomoc materjalną, wypada przypomnieć darowiznę 300.000 zł. pols., uczynioną Zakładowi, wymienioną później na wieś Rakowiec; zapisy: Wincentego Kopystyńskiego (1818 r.), Jana Benedykta Pawlikowskiego (1829 r.), Franciszka hr. Chołoniewskiego (1830 r.), Eugenjusza Brodzkiego (1841 r.), Andrzeja Neronowicza (1848 r.) Aleksandra hr. Stadnickiego (1854 r.), Ludwika Skrzyńskiego (1882 r.), Adama Kłodzińskiego (1885), Izabelli x. Sanguszkowej (1890 r.), Antoniego Małeckiego (1892 r.), a w najnowszych już czasach zapis Albina Rayskiego.

Poza świadczeniami hojnemi pierwszych fundatorów, samego mianowicie Ossolińskiego i Henryka x. Lubomirskiego, tudzież Sejmu Stanowego galicyjskiego, który w r. 1826 udzielił pożyczki (zmienionej później w darowiznę) w kwocie 15.000 zł. m. k., Zakład, jakkolwiek publicznemu dobru całego narodu służący, nigdy nie miał szczęścia do znacznej naprawdę, wydatniejszej z jakiejkolwiek strony pomocy. W przeciągu bowiem lat 114, od r. 1807 do 1921, otrzymał on razem w walucie austryjackiej koron 268.712 (zł. r. 134.356), sumę w porównaniu z darami, składanemu np. przez Czechów narodowemu Muzeum w Pradze, niesłychanie nikłą, jeśli się ponadto zważy, że mieszczą się w niej nawet fundusze, pewien zgóry oznaczony cel mające, jak np. konserwowanie i kompletowanie księgozbiorów, darowanych Zakładowi przez fundatorów.

Wobec zbytniej aż nadto skromności dochodów, zasadniczo ograniczających się — jak zauważono — do stałej opłaty ze strony kuratora ekonomicznego w kwocie 6.300 zł. reńs., które z dodatkiem innych wpływów mniejszych miały wystarczyć na utrzymanie szeroko zakrojonej Instytucji i wypełnienie wszelkich, przepisanych jej przez założyciela świadczeń i obowiązków, kuratorja naukowe musiały z największą troskliwością i poświęceniem szukać dróg i sposobów, któreby radykalnie usunęły rozdźwięk tragiczny między twórczą i rozumną myślą Ossolińskiego, a środkami do jej planowego i skutecznego realizowania.

Syzyfowa praca na tem polu podjęta została już za pierwszego kuratora Henryka x. Lubomirskiego i jego bezinteresownością kierujących się przyjaciół— pomocników z hr. Wiesiołowskim na czele, ale warunki jej, przytrudne i przyciężkie skutkiem wrogiego, niezawsze nawet maskowanego stanowiska rządu austrjackiego i biurokracji krajowej, nie dozwoliły jej uwieńczyć się wynikami daleko i głęboko sięgającemi. Dopiero od niespełna lat 60 rozpoczęła się szczęśliwsza dla Zakładu epoka, zaznaczona czynami kuratorów: i przedwcześnie zmarłego Jerzego x. Lubomirskiego, Kazimierza hr. Krasickiego, prof. dr. Antoniego Małeckiego, i Andrzeja x. Lubomirskiego, tudzież dyrektorów i kustoszów: Adama Kłodzińskiego, Augusta Bielowskiego, dra Władysława Zwisłockiego, dra Wojciecha Kętrzyńskiego i dra Ludwika Bernackiego, których usiłowaniom należy zawdzięczyć, że podstawa, stanowiąca oparcie dla idei Ossolińskiego, przestała być za szczupłą, — że wytrzyma wzniesioną na sobie budowę monumentalną jego myśli i czynu i pozwoli jej rozrastać się coraz bardziej i wznosić się coraz wyżej.

Wszystko zaś to stało się możliwem na drodze różnej.

A naprzód zabiegom kuratorów, czynionym nieraz z największym wysiłkiem energji i trudów, udało się wyjednać u rządu austrjackiego przywilej dla Instytutu Ossolińskich drukowania i sprzedaży książek polskich dla szkół powszechnych a poniekąd i średnich w Galicji, którego dochody podparły po raz pierwszy i co prawda bardzo znacznie byt Zakładu i umożliwiły mu uskutecznienie niejednego pierwszorzędnego pomysłu, ale który również dał Zakładowi sposobność do służenia społeczeństwu poza granicami i celami, wytkniętemi mu jako księgozbiorowi i muzeum pamiątek, dziesiątki bowiem tysięcy egzemplarzy jego nakładów szły corocznie w podarunku dla niezamożnych a łaknących światła i nauki szkolnej.

Ten pierwszy krok pociągnął za sobą drugi, o którym myślał już w przeszłości sam Ossoliński, pisząc w „Ustanowieniu“: „z oszczędzonych dochodów bibljotecznych chcę mieć zaprowadzoną drukarnię“, składającą „część Instytutu bibljotecznego“; więc do życia powołał drukarnię i litografję i wiele dla nich interesu okazywał Henryk x. Lubomirski, ale nie spełniły się nadzieje nie tylko dla braku środków, ale i przedewszystkiem dla prześladowań policyjnych rządu, który sprowadził ich ruinę. Wskrzeszona później sama drukarnia i puszczona w dzierżawę nie przedstawiała się lukratywnie, nadto, gdy dzierżawa ustała, z powodu długoletniej używalności okazała się prawie zupełnie niezdolną do jakiejkolwiek większej produkcji. Znowu tedy z wysiłkiem, mając przed oczyma obowiązki, jakie Zakład czekały po otrzymaniu przywileju na wydawnictwo książek szkolnych, wzięto się do dzieła, stworzono typografję nową i starano się postawić ją na wyżynie możliwie wysokiej tak pod względem zdolności produkowania, jakoteż jakości produkcji samej. Gdy przy ilości wydrukowanych egzemplarzy książek, idącej w setki tysięcy, okazała się potrzeba własnej introligatorni, i na to przedsięwzięcie zdecydowała się kuratorja, tworząc osobny zakład, który — co się tyczy urządzenia — przedstawia się pierwszorzędnie, czyniąc zadość potrzebom nie tylko domowym, ale także publiczności, — w jednym kierunku więcej uniezależnia Instytut od okoliczności zewnętrznych a nadto, co jest wagi niemałej, przynosi dochód nowy.

Za dwoma krokami powyższemi poszedł w czasach już najnowszych — trzeci.

(Dok. nast.) WILHELM BRUCHNALSKI

PIASTUN

SCISNĘŁA ziemię w krańcach mroźna noc lutowa. Chramik na Rozgórczu, co go o wczesnem przedświeciu waligóry niewiadome w bochnie litego kamienia drążyły, co wsparty ciemieniem w lesistą zbocz, latem kudłami borówek, jesienią wrzosem różowym obrastał — wysoka czapa śniegu nakryła. A w górnej komyszy chramu, kuli się u paleniska stary wróż-brodacz, wiecznego ognia piastun. Raz po raz ramię suche jak chrust z pod nawisu niedźwiedziej skóry wytyka, w płomień garść skąpą patyków dorzuci i znów ją chowa w ciepłe zanadrze.

Trwa tak sam jeden, zatruchlały, krzepnący, bo paliwa już jeno ostatek.

Acz ogieniek maleje, dymu coraz więcej, bowiem szczeliny w posowie, zaspą od góry przysutej, niema przebóść komu, a przez wyziory mchem i chojarem utkane, przez dźwirze zadute śniegiem po obrzeżach, ziąb srogi do kamiennej izby się ciśnie. Niby sowy odute po dziuplach, siedzą w trzech ciosanych wnękach na ścienie, ku wschodniemu wyziorowi podanej, lalki czczone, pradawne, święte struganki z lipiny, pociemniałe od starości, obszeptane prośbami niepoliczonych, pragnących warg, zielem wieńczone, sycone mlekiem, jagodą i miodem, dziś wszelako, jako wróż siwy ich piastun, głodne i zatruchlałe. Ów skulił się pod ciężkim błamem — i czeka, nie czeka; bo raz mu się widziało, że nie może być, aby tamten nie wrócił a potem sowiał znów i stygnąc od mrozu czuł, że kołowrot żywota obraca mu się nawrotem powolnym, ostatnim. I szczędził, coraz skąpiej przyrzucał paliwa.

Trzeci-bo dzień, odkąd służkę bożego, wyrostka, wysłał pod las do konopnych wnyków, pojrzeć zali borsuka, lub zajączka niema w paści. Przednowek szedł, kończyła się spyża uboga a ludzie w osiedlach sami przysuci śniegami, zabaczyli o chramiku. Na krótko ino miał chłopak odbiec starego, bo ów, wiadomo, chyba z lalkami świętemi gada, jałowcem i żywicą okadza palenisko i baczy jedynie, iżby ogieniek święty — uchowaj Bóg — nie usnął. Przecie ślubował mu ongiś na krew i na kość, na dech ostateczny, iż go nie opuści aż do śmierci. Jakoż czuwał i strzegł, ale już tej zimy ani do drewutni na dół, po zaciosach spadzistych stopni się nie spuści, kozom ani pszczołom śpiącym usłuży, o własnej nawet strawie nie pomni, byle ino ten płomień szumny, nigdy nie syty, miał co jeść.

Chłopak nim poszedł, wyniósł chrustu na górę dość, garnuszek ze świeżym udojem i podpłomyk złagodził staremu, ulał i lalkom mleka do skorupek, nadarł z brogu siana dla kóz—i ruszył, aby wrócić przed mrokiem.

Nie wrócił wszakże wcale.

Potem — nocą i dniem, waliła ciszkiem śniegawica. Przez wypaść sęka w płatwie u wyzioru, jakby mlekiem i pierzem bielał świat — a dziś, od zaranka, sadzi mróz straszny, krzypotą lodu zaparł próg, że ani drgną grube kłody jedynych dźwirzy. Dębowychby, nie chruścianych trza garści, by się dobyć na pole z komyszy! Młody dałby radę gdyby wrócił.

Nieraz już tak chadzał i wracał — to z szarakiem tłustym, czy rybą, dobytą z pod lodowej płonki. Bywało, zapędzi się i do Pobuka, czy na tamten brzeg do Lubieniec, soli przyniesie i mąki a także nowin krzynę. Jednemu się zmarło, innemu bogi syna dały, ów pogorzał, tamten zrękowiny gotował i lalkom na Rozgórczu słał poczęstunek proszalny a jego dziewka płaskate serce twarogu tkała jeszcze za pazuchę chłopcu dla dobrego piastuna-wróża. Tak bywało, ale już nie będzie.

Złowroga, mroźna pewność ścięła staremu krew.

— Czekaj, poczekaj,—mówi do garsteczki żaru— Pośniemy! Najpierw ja, potem ty.

Ale płomień nie umie czekać jak człowiek. Pochłonął już wszystek chrust, pożarł ostatnią garść siana z brodaczowego barłogu, łyknął rzucone sobie paciory jarzębin i gwieździste osty z lalczynych wianków — a teraz miga jęzorem coraz to niższym, syczy jak wąż święty, chciwy żertwy powinnej.

A stary wróż wie, że tamten nie wróci już nigdy że dla wilków przednówek także a zima jeszcze długa i nierychło, nierychło w modrą wiosenną odwieczerz, na szarości nagiego lasu, zachrapie słonka. Że idzie śmierć biała—niania, że się wije po płotu już bliska... Wie, że nim nad chrupkim lodem w słońcu czajka zapiszczy, nim na łasze rzecznej pogwar babi i bicie mokrych kijanek się rozklaszcze, — pójdzie wieść po dziedzinach, ku Bolechowu i bołdom na Polanicy, ku garbatym siodłom Urycza, ku wielgoborom Skolszczyzny, — od Beskidu aż po ten rozgorzały o zachodzie osyp Czerwonych Brzegów — tam, gdzie Opor zielony z sinemi wodami Stryja się miesza, — że w chramiku na Rozgórczu, u zimnego paleniska, leży od zimy piastuna-wróża trup.

Zaczem powoli — z bark stężałych ostatnią przyodziewę zwłóczy, błam niedźwiedzi kudłaty na mrugające węgle kładzie, a sam — jak ta pradawna święta struganka nagi—na patyki ramion się opuszcza, na kosturach nóg przyklęka i czołem do zimnego głazu przylega.

—Naści,—pożyw się, nie krzywduj, żem ci żałował.

Buchnie w górę płomień a myśl człowiecza próchnem przypomnień się zajarzy. Przyśniwa dzieciństwo jabłeczne, młodość jelenią, junaczą, gniazdowe ciepło domu — a potem wojnę, pomór, głód i przytulisko boże na Polanicy, gdzie witeź dawny na wróża piastuna się wyświęcił. Wiernie, póki mógł, służył bogom i ludziom. Zwady godził, rany goił, urodzaje wróżył i grady — o wielgoduchach dawnych prawił, ziemi strzec kazał i bronić, — sam wszakże miłował nadewszystko ten ogień dymny, co synem był Pieronowym a wnukiem Jasnego najstarszym i domem kochanym, straconym — rodzonym domem pachniał!

Teraz oto, ten ogień-władyka, pożywa obiatę ostatnią a człowiek-rab wie, że zaiste kołowrot doli jego stanął, a nędzne truchło ciała, służby swej dopełniwszy, grąży się, już spokojnie w ciemną przeręblę śmierci.

Lwów 1927. MARYLA WOLSKA

LIBERUM VETO

Obraza Fortuny. — Fałszerze historji. — Kradzież wawrzynów. — Zatarg polsko-litewski przed Ligą Narodów. — „Warjat" i... Szkoda Litwinów. — Płonna obawa. — Wybory i pieniądze.

CHOCIAŻ najbezpieczniej obrażać bogów, bo oni mszczą się tylko w anegdotach, nie godzi się obrażać Fortuny. W ciągu ostatnich dziesięciu lat daleko więcej otrzymaliśmy od losu, niż wypracowaliśmy i wywalczyli. Fakt był oczywisty, rozebrany z wszelkich odsłonek i wątpliwości, a cały naród widzący i myślący uczuł wdzięczność dla tych przyjaciół, którzy byli głównymi twórcami jego wyzwolenia i dla tych rodaków, którzy się o to najgorliwiej i najofiarniej starali. Ale nie tylko kluby, szynki, kryjówki oszustów i wagony kolejowe mają szulerów, grających podrabianemi kartami. Ma ich również płatna publicystyka polityczna, zdobywająca korzyści i wawrzyny dla swych karmicieli zapomocą fałszowania prawdy. Przypomnijmy sobie, ile to bezczelnych uroszczeń, „oblatowali" w aktach historji po wskrzeszeniu Polski nawet ci, którzy porozumiewali się z jej wrogami i gotowi byli dla nich odrąbać z niej części i pozostawić ją niezdolną do samodzielnego życia kaleką. Komitet Narodowy, pracujący w Paryżu niezmordowanie z najwyższem natężeniem sił nad wydobyciem dla Polski najlepszych korzyści z pomyślnego wyniku wojny, został zasypany kłamstwami i oszczerstwami jak sfinks egipski kurzawą piasku pustyni, a zwycięzcy tej największej w dziejach świata wojny i głównemu sprawcy naszej niepodległości Fochowi probowano odciąć głowę i na jej miejscu wsadzić inną. To podrabianie historji na użytek współczesnych, bo potomni, zwłaszcza ci, którzy dalej odejdą od nas, oszukać się nie dadzą, trwa u nas ciągle i objawia się przy każdym ważniejszym wypadku. Dziennikarze, ajenci telegraficzni, korespondenci, prelegenci publiczni, cała ta najęta lub namówiona czereda pisze dzieje naszego czasu piórami maczanemi w atramencie czerwonym i wonnym na bałwochwalstwa dla swych żywicieli a w czarnym i cuchnącym dla wszystkich, od których otrzymują tylko pogardę. Dotąd nie ustała ta kradzież wawrzynów.

Rozstrzygnięcie zatargu polsko-litewskiego przez Ligę Narodów dało tym dziejopisom sposobność do okazania siły swych płuc w rozdymaniu kropli mydlin do wielkości balonów. Przekłuwać je szpilką i wypuszczać z nich gaz reklamowy ani warto, ani bezpiecznie. Niech latają, wkrótce same pękną. Warto tylko przypatrzeć się bliżej dziwnej figurze litewskiego męża stanu. Polski prezes ministrów nazwał publicznie kowieńskiego prezesa ministrów niepoczytalnym warjatem, nadającym się do szpitala obłąkanych. Zdawałoby się, że ten mąż stanu odczuje ciężką zniewagę i okaże ją przed Ligą Narodów przy bezpośredniem zetknięciu z tym, który go tak uczęstował. Nic podobnego. P. Waldemaras był skruszonym żakiem ze złą cenzurą w ręku i rumieńcem policzka. Kto lubi szarady, niech stara się odgadnąć, czy dyktator litewski nie ma uczucia godności, czy też uważa, że należy ją poświęcić interesowi politycznemu. Tak czy inaczej, mądry dyplomata szwedzki Oxenstierna, żegnający odjeżdżającego syna słowami: „Jedź i zobacz, jacy... światem rządzą" — musiał się roześmiać w grobie.

Szkoda Litwinów, narodu o wielkiej mocy charakteru, przez kilka wieków związanego z nami spółżyciem, obfitującem w piękne momenty i znakomite skutki! Najgwałtowniejsze uczucia gniewu po doznanych krzywdach ucisza w nas i koi nieśmiertelny i wzruszający głos z grobu: „Litwo, Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie". Usłyszawszy ten głos, zdaje nam się, że za naszą ścianą mieszka nie wróg zawzięty, ale rozdrażniony złemi podszeptami przyjaciel, który się opamięta i powróci do dawnego serdecznego stosunku. Niestety, słaba to nadzieja. Pomimo wszystkich konstytucyj, demokracyj, pięcioprzymiotnikowych głosowań i udziału mas społecznych w rządach, narody są ciągle pod władzą i despotyzmem jednostek. Na nieszczęście dla Litwy i poniekąd dla Polski p. Waldemaras jest politykiem niedojrzałym, krótkowzrowzrocznym i wbrew minom samodzielności — biernym. Nie widzi on, że jest kartą gry w brudnych rękach i przez nie zbrukaną, że nie jest wcale wielką skałą, lecz kamykiem, którym jego podżegacze wybijają sąsiadowi w oknach szyby i czasem go dotkliwie zranią. Jeżeli się obawia odnarodowienia Litwinów pod wpływem kultury polskiej, to niech przypomni sobie, że to niebezpieczeństwo groziło im przez trzy wieki w ścisłym związku państwowym i nie nastąpiło. Lud pozostał, jakim był, nietknięty w swej istocie. Tylko politycy, którzy nie znają historji, tylko palacze okretowi, którzy nagle zostali sternikami nawy państwowej, nie wiedzą, że Polska nigdy nie okazała ani zdolności, ani chęci niszczenia etnicznych odrębności, że Litwa i Ruś wyszły z pod jej władzy i wpływu takiemi, jakiemi były przedtem, zachowując jedynie jakgdyby na pamiątkę jej oddziaływania rozproszone osady kolonizacyjne. Zresztą w obu tych krajach zachodzi ten sam wypadek: lud zachowuje się obojętnie, tylko warcholska inteligencja i fanatycy biją ciągle w bębny alarmowe.

Na początku roku przyszłego przejdziemy przez największe, najbardziej lepkie i cuchnące błoto, jakie się otwiera co lat kilka w życiu wszystkich narodów— wybory do ciał prawodawczych. W ciągu kilku tygodni będziemy brnęli przez bagno oszustw, przekupstw, podstępów, intryg i wszelkich nieprawości, na jakie zdobyć się może zła wola człowieka, będziemy żyli pod gradem kłamstw, potwarzy plugawych, wymysłów i chamskich napaści; będziemy patrzyli na dziką walkę stronnictw, na wspinanie się ku górze najpospolitszych miernot, na ryk głodnych ambicyj. Tłum kandydatów tak się skotłuje i zwichrzy, że nie zdołamy w nim odróżnić ludzi wielkich od małych, czystych od splamionych, bezinteresownych od spekulantów. Ten turniej, który ma być najszlachetniejszem starciem żywiołów i prądów społecznych, jest w rzeczywistości ohydnem widowiskiem rozwścieklenia się i zażerania egoizmów. A ostateczny rezultat? Zwycięstwo najmocniejszych pięści, najostrzejszych pazurów i najpełniejszych kieszeni. Te ostatnie mają w przyszłorocznych wyborach odegrać główną rolę. Triumf przypadnie tym, którzy zbiorą i rzucą w walkę więcej pieniędzy. Bądźmy jednak sprawiedliwi dla siebie. Nie my tylko urządzamy to gorszące widowisko — rozgrywa się ono z mniejszą lub większą ohydą wszędzie, nie wyłączając narodów najwyższej kultury. I tam rownież zbierają się ogromne fundusze — na co? Na okłamywanie, odurzanie i rozpajanie wyborców. U nas jednak ta sromotna kampanja odbywa się jaskrawiej dzięki niższemu uświadomieniu masy społecznej, niedostatkowi ludzi, nie ustalonej większości politycznej i dzięki przegłupiej ordynacji wyborczej. U nas też smutek z wyniku walki musi być większy, tem większy, że w niej przepadają olbrzymie sumy, których brak na najważniejsze i najpilniejsze potrzeby narodu — biednego, głodnego i znękanego tyranją drożyzny. Rząd cofnął zapomogę C. Towarzystwu Rolniczemu, podejrzanemu o działalność polityczną, ażeby osłabić jego udział pieniężny w wyborach.

Należy się spodziewać, że on tej oszczędzonej sumy i wogóle swoich rozporządzalnych funduszów nie użyje na agitację wyborczą. Gdyby bowiem był bezpartyjnym, miałby prawo zrobić z nich taki użytek, ale skoro jest partją, nie może pokrywać pieniędzmi społecznemi wydatków na cele własne. Śród tych pieniędzy są przecie wkłady wszystkich obywateli państwa, płacących podatki, wszystkich „deków", „istów", a więc również członków Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Kasjerzy i oficjaliści narodu muszą o tem pamiętać.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

JUBILEUSZ JÓZEFA HŁASKI

Z INICJATYWY redakcji „Gazety Warszawskiej Porannej" koło przyjaciół postanowiło uczcić swego najstarszego towarzysza pracy i przewódcę Józefa Hłaskę. Należy się taki hołd nadewszystko tym pracownikom społecznym, którzy ze skromności zacierają swoją osobistość. Trzeba ich wydobywać dla samej równowagi w stosunkach, nadużywanych zbyt często dla chwały ludzi bez zasługi.

Józef Hłasko należy do szeregu najtęższych publicystów i działaczy narodowych w obozie t. zw. wszechpolskim. Urodzony pod Połockiem w r. 1856, jako słuchacz Akademji Medycznej w Petersburgu w r. 1881 rozpoczął swą karjerę polityczną od więzienia i zesłania na Sybir. Po pięcioletnim pobycie w Jenisejsku, w r. 1887 przybył do Warszawy, aby zbliżyć się z „Głosem", redagowanym przez Jana Popławskiego.

Był współredaktorem i współwydawcą „Głosu" od owego czasu do r. 1894, kiedy za demonstrację w rocznicę powstania Kościuszkowskiego uwięziony był, a „Głos" zamknięty. Zesłany powtórnie na Syberję, już nie miał prawa po pięciu latach wrócić do Warszawy. Wyjechał do Lwowa i tam, złączywszy się z kolegami z „Głosu" Popławskim i Dmowskim koło nowego ogniska pracy, pozostawał do r. 1906. Do r. 1903 pracował w redakcji „Wieku XX", a potem „Słowa Polskiego".

Od r. 1906 do 1915 był redaktorem „Dziennika Wileńskiego", a potem do r. 1918 „Gazety Polskiej" w Moskwie. Od jesieni r. 1918 pracuje dotąd w „Gazecie Warszawskiej", zamienionej w r. 1925 na „Gazetę Warszawską Poranną".

Taka jest w paru datach lista służby Józefa Hłaski. Żeby ją wypełnić tą treścią, dla której teraz składamy hołd jubilatowi, trzeba przebiec myślą półwiecze dziejów Polski pod kątem tego wysiłku ideologicznego i moralnego, jakiego dokonać musiało jego pokolenie, aby naród przygotować do czekających go zadań. W podstawach tego ruchu tak wielkiej doniosłości dziejowej widzieć trzeba pracę takich idealistów, jak Józef Hłasko.

Niemożliwa byłaby żadna praca organizacyjna bez ludzi, obdarzonych cnotą wytrwania w służbie idei i darem utrzymywania dzieła w ciągłości. Hłasko należy do szeregu ludzi niezawodnych.

Służba publicystyczna była punktem wyjścia tego ruchu narodowego. Niczem byłaby jednak idea w tym siewie, gdyby nie uprawa charakterów, a tutaj Hłasko był wzorem. Nie była to praca łatwa w początkach. Z jednej strony zupełny upadek myśli politycznej w społeczeństwie i cofnięcie się moralne od odpowiedzialności za bieg spraw publicznych, a z drugiej strony — przypadający na ten czas, a porywający duszę gorętszą ruch ideowy socjalistyczny na podłożu materjalistycznego na świat poglądu, który sprzyjał raczej kosmopolityzmowi, niż patrjotyzmowi. Nie było fali, któraby żywiołowo ideę państwową Polski wyniosła, trzeba było falę stworzyć. Wymagało to wielkiej wiary i siły moralnej.

Hłasko czterdzieści lat siedział przy sterze, wierny głosowi komendy i karny, bo był to głos jego sumienia i światłego rozumu. Ten głos wewnętrzny, stający się wartością moralną szeregowca, czyni z każdego współtwórcę dzieła i sprawia, że nie jest on pionkiem w gromadzie, lecz rzucony na daleki posterunek nie chybi kroku i kierunku, jakby szedł w szeregu. Tak było za kordonów, tak było czasu frontów wojennych, gdy porozumiewanie się było niemożliwe. Hłasko w Warszawie czy na zesłaniu, we Lwowie czy Wilnie nie myli swojej drogi i zawsze jest w rytmie ogólnym. Tę intuicję daje nietylko działaczowi publicznemu, ale każdemu obywatelowi nakaz wewnętrzny ciągłego baczenia na to, co jest interesem narodu. Ukształcony na tej podstawie charakter jest źródłem twórczości, która może być różna według skali osobistej, ale zawsze będzie wartością dodatnią.

Poczucie odpowiedzialności, górujące w charakterze obywatelskim Hłaski, kazało mu, gdy się wziął do publicystyki, gruntownie pracować nad zdobyciem potrzebnej publicyście wiedzy. I tu był także dobrym dla innych przykładem. Społeczeństwo nowożytne, spożywające na codzień, rano i wieczór, wiele prasy, choruje, zwłaszcza po miastach, nagminnie na niestrawność umysłową i moralną w wielkim stopniu z powodu zbyt niehygjenicznego przyrządzenia strawy.

Sprawia to głównie zaniedbanie duchowe piszących, a zwłaszcza umysłowe.

Hłasko całe życie się uczył, a zanim zaczął wertować góry dzienników, posiadł gruntowną wiedzę społeczną, czerpiąc ją z dzieł w kilku językach. Tylko dlatego, nie walką partyjnie polemiczną, prowadzoną na oślep, ale nauczaniem pozytywnem ruch narodowy mógł przez publicystykę torować sobie drogę.

Starzy i młodzi, ci co z Hłaską pracowali, i ci co go znają z tradycji, składają mu dzisiaj życzenia na dalszą drogę, niosąc mu hołd i miłość.

O SĄD NA PLAGJATORÓW

PRZED każdym pisarzem staje pewnego razu pytanie: Co jest w utworach moich moją własnością, co wziąłem od innych?

Wieki dawne nie były na tym punkcie — jak wskazuje ks. Woroniecki w swej rozprawie o tomizmie— drażliwe i myślano więcej o rzeczy samej, niż o indywidualizmie pisarza. Ale my, w epoce m. i. tak ścisłych badań genetyczno-literackich, już do tego przedgrzesznego stanu niewinności wrócić nie możemy. Faktem jest, że dziś my wszyscy, ilu nas jest pisarzy, począwszy od najcięższego filozofa, a skończywszy na dziennikarskim humoryście pragniemy na utworach naszych wybić gmerk naszej indywidualności. Rozumie się to nietylko jako prawo, lecz i jako obowiązek. Stąd powstaje owo pytanie pisarskiego sumienia. Ale zarazem, w tem samem sumieniu, powstaje potrzeba ścisłego odgraniczenia i zaznaczenia, co się od innych wzięło. Pisarz ambitny dokładnie wyznacza sferę wpływów na siebie—(jak np. stary Goethe, który przyznawał się do ulegania wpływom rozmaitym, m. i. młodszego od siebie Szyllera) całą resztę zachowując już jako swoją niezaprzeczoną własność. Ale żeby przy własności tej można się w opinji krytyków utrzymać — musi w świecie piśmienniczym panować atmosfera niewątpliwej uczci-

wości: musi się autorowi na proste jego zapewnienie uwierzyć, że tego a tego nie czytał, że ten a ten motyw, jest tylko podobieństwem, a nie wpływem, że jest więc jego przyczynkiem oryginalnym. Stosunki takie, są też pożądane ze względów naukowych, całkiem inne bowiem dla interpretacji prądów w twórczości mają znaczenie analogje, całkiem inne — wpływy.

W dziedzinie zauważonych podobieństw literackich, mamy cały szereg stopni: 1) Czysta analogja — podobieństwo, o którem ze względów zarówno zewnętrznych jak i wewnętrznych, żadną miarą przypuścić nie można, że jest zapożyczonem; tu jeszcze mowy niema o „wpływie", charakteryzuje ono „ducha epoki" lub służy do wyznaczenia typów psychicznych, albo wreszcie typów zagadnień. 2) Analogja dalsza czyli wpływ ewokatywny, kiedy podnieta literacka aktualizuje tylko kompleks jakiś poprzednio już gotowy, z którym pisarz, „znał się" już, ale kiedy w przeprowadzeniu formalnem znać zupełną niezależność pisarza. 3) Wpływ strukturalny (anlogja bliższa), kiedy pomysł był jeszcze oryginalny, analogiczny tylko przez „przypadek", ale kiedy już w ukształtowaniu jego znać pomoc od innego pisarza. 4) Wpływ motywalny (zapożyczenie treściowe lub ideowe), kiedy całkiem niewątpliwie i dokładnie przejmuje się pomysły, ale formę daje się własną; znanym przykładem służy tu Słowacki („bluszczowość"). 5) Naśladownictwo (zapożyczenie treściowo-formalne) kiedy nietylko w treści, lecz i w formie dzieła dadzą się wykazać linje naśladowcze; naśladownictwo może być i zamiarem artystycznym, do którego potrzeba swego rodzaju talentu; (takim świadomym i utalentowanym naśladowcą Słowackiego jest p. Antoni Waśkowski). 6) Zapożyczenie formalne czyli tekstualne, kiedy wprost dosłownie bierze się cudze wyrażenia, jako oddające najlepiej daną myśl; ale tu już zaczyna się kwestja przyzwoitości pisarskiej: z pewnej wdzięczności intelektualnej dla tamtego pisarza, za jego pomoc przy wyrażeniu swej myśli, zawiadamia się czytelnika o nim w przypisku; albo też, jeśli jak np. w art. dziennikarskim — nie ma się ochoty obarczać się przypiskami, to w każdym razie ma się do rozprządzenia... cudzysłów; chyba że idzie o wyrażenia powszechnie znane, gdzie cudzysłów byłby pedanterją[1]). Beletryści (poeci), do rozporządzenia cudzysłowów nie mają; ale wzamian mają szlachetną ambicję mówić wyłącznie swoim językiem. 7) Mamy wreszcie zapożyczenie oszukańcze, czyli poprostu kradzież literacką, to znaczy plagjat, kiedy się cudzą pracę przepisuje podając ją za swoją. Plagjat zaś może być wyrafinowany i wstydliwy, albo też niecny i bezczelny: można idąc krok w krok za cudzą myślą, dodawać przynajmniej od czasu do czasu jakieś słówko od siebie, można też przepisywać całkiem lub prawie całkiem dosłownie.

[1]) Trudno zaiste każdą przelotną myśl zapożyczoną notować. Byłoby to nieznośne, a nawet patologiczne. Jeśli idzie o wiadomości (o faktach, teorjach i. t. p.), w artykule publicystycznym, tem bardziej popularyzacyjnym, dziennikarskim, nie ma się obowiązku podawać ich źródła; w artykule o charakterze naukowym przyzwoitość wymaga, aby cytować źródła wiadomości szczegółowych, nie należących do specjalnego zakresu badań piszącego. Ale zarazem na oszczędność przypisków powinien wpłynąć inny wzgląd przyzwoitości, to znaczy, ażeby nie wpaść naodwrót w podejrzenie o próżności popisywania się erdycją. Pisarzy czytanych „własnoręcznie" od tych, których się cytuje z drugiej ręki, odróżnić można w ten sposób, iż tylko tych pierwszych cytaty dzieł podaje się, drugie przytacza się tylko samem nazwiskiem, wreszcie cudzysłów jest typograficzny, albo „gramatyczny" np. powiadają że, ktoś twierdzi i t. p.

W każdym z powyższych stopni wpływu (2—6) rozróżnić należy między korzystaniem z cudzej myśli świadomem a nieświadomem. Im myśl jaka jest podobniejsza do własnej, tem łatwiej przeoczyć i zapomnieć, że pomogła mi do ukształtowania mojej. Stopień prawdopodobieństwa wpływu nieświadomego coraz bardziej zmniejsza się w miarę jak zstępujemy od analogji dalszej do naśladownictwa; coprawda w zapożyczeniu tekstualnem znowu podnosi się on znacznie, ale tu idzie o pojedyńcze, nieraz całkiem krótkie zdania, które łatwo mogły oderwać się od kontekstw i wniknąć w zasób subjektywnie własnej świadomości. W plagjacie wreszcie stopień prawdopodobieństwa owego równa się zeru: Gdybym mógł na jawie, przy pracy umysłowej, całe dłuższe cudze teksty cytować dosłownie, w mniemaniu do tego, że to moje własne myśli, to byłby to chyba jakiś fenomen metapsychiczny!

To właśnie zdarzyło się jednemu z profesorów Jagiellońskiej Wszechnicy, który pisząc o Żeromskim, cytował cały szereg zdań z rozprawy p. Jampolskiego zupełnie nie podając źródła... Nie wchodząc w zagadnienie metapsychiczne, fakt ten podała do wiadomości publicznej „Myśl Nar." jako plagjat notoryczny — zdumiewający wprost u człowieka z naukową przeszłością i piastującego taką godność. Następnie wystąpił młody pisarz p. J. Stępowski z broszurą o dużem zacięciu polemicznem pt. „S. O. S." (Kraków 1927, skł. gł. w Księgarni Krakowskiej), w której apelował do całego szeregu osobistości ze świata naukowego i literackiego o publiczną ocenę takiego postępku. Niestety broszura ta dotychczas zamierzonego skutku nie wydała; odezwał się tylko jeden, K. H. Rostworowski, inni milczą; wszystkie instytucje najbardziej chyba powołane do strzeżenia godności uczonych i rzetelności pracy umysłowej zachowały w tej sprawie doskonałą neutralność. Plagjator w dalszym ciągu obnosi swą twarz po towarzystwach i kongresach naukowych, a opinja publiczna widocznie chce zapomnieć o wszystkiem.

A właśnie do zapomnienia o tej aferze nie wolno dopuścić. Kiedy biedak ukradnie bochenek chleba poszturchują go i prowadzą na posterunek P. P.; kiedy profesor uczony ukradnie cudzą myśl i pracę—honorujemy go nadal. To jest właśnie ładna próbka osławionej „burżujskiej" moralności. Ale jeśli my, inteligencja, nie chcemy dać się zepchnąć, owszem chcemy sami historję wziąć za kark, to musimy między sobą robić porządek, okna pootwierać i powietrze odświeżyć! Jeśli dziś jeszcze, nawet wśród ludzi pracy umysłowej, którzy na tem, co jest godne myśli, dobrze się rozumieją, uważa się prostą defraudację cudzej pracy myśli za jakiś tylko nietakt — to wystarczy jedno plagjatorstwo doprowadzić wytrwale aż do skandalu, jednego plagjatora-matadora ukarać przykładnie— aby plagjat stał się w opinji publicznej tem, czem jest istotnie. Jeśli bardziej powołani nie reagują w tej sprawie, niech wolno będzie mniej powołanym i młodszym przypominać ją. Każdemu bowiem pracownikowi pióra zależeć musi na tem, aby do gmachu piśmiennictwa zachodziło się, jako do porządnego domu, w którym się ludzie wzajemnie nie posądzają o koszonerje.

Nie idzie wcale o zniszczenie człowieka: ale niech plagjat uznany zostanie formalnie za przestępstwo — i niech przestępstwo będzie ukarane, niech kara będzie momentem przełomowym w życiu przestępcy; niech koszonerja nie rozpływa się po sumieniu przestępcy i po sumieniu publicznem, jak tłusta plama; niech między przebaczeniem, czyli dosłownie zapomnieniem a przestępstwem — będzie pokuta; tego domagają się

wszystkie rzeźkie instynkty i etyka chrześcijańska — oczywiście ta esencjonalna, nie rozwodniona w fałszywej filantropji. I ten jedynie punkt widzienia usposabia do dalszego wentylowania tej nieprzyjemnej afery.

Idzie o wyjście praktyczne. Pozwalam sobie, jako publicysta, poddać rozwadze sfer piśmienniczych następujący projekt: Powstaje stała instytucja sądu honorowego, do którego każdy pisarz posądzony o plagjat czy inne literackie przestępstwo, miałby obowiązek dżentelmeński odwołać się. W razie skierowanego plagjatu, karą zań powinno być wykluczenie na jakiś czas z piśmiennictwa; przez ten czas powinny przed pisarzem wskazanym zamknąć się wszelkie trybuny i wydawnictwa. Pisarz skalany, może znów wejść do piśmiennictwa, jeśli ma zdolności, niech się one nie marnują, ale niech wróci — oczyszczony przez odcierpianą karę. Ta dopiero zlikwiduje sprawę.

Sygnał „S. O. S." — znaczy tu: Ocalmy nasze obyczaje intelektualne od zepsucia. Sprawa jest ważna. Któż ma służyć wzorem rzetelności zawodowej, jak nie ludzie umysłowej twórczości? Utrzymajmy godność cechu. To jedna z prób moralnej krzepkości inteligencji polskiej.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Narodowy Komitet Wyborczy. — Napad na Adolfa Nowaczyńskiego.

ZALEDWIE dwa miesiące dzielą od terminu wyborów do Sejmu i Senatu, to też przygotowania wyborcze prowadzone są w tempie coraz szybszem. Po wzywającym obóz katolicko-narodowy do jedności Liście pasterskim Episkopatu, po odezwie, podpisanej przez 118 wybitnych obywateli, nawołującej tenże obóz „do wyrzeczenia się stanowiska partyjnego" i wybrania „jednego zastępu przedstawicieli, stojących na gruncie jednego wspólnego programu", nastąpiło utworzenie się Narodowego Komitetu Wyborczego, który zamierza „pracować razem ze wszystkimi ludźmi dobrej woli nad wzmożeniem potęgi Państwa i Narodu". W odezwie swej Narodowy Komitet Wyborczy nie wysuwa haseł partyjnych, nie zwraca się też wyłącznie do istniejących dotychczas stronnictw, lecz odwołuje się do tych wszystkich Polaków-obywateli, którzy pragną, „by Polska była państwem naprawdę wielkiem przez swoje prawo, swoją cywilizację i swoje gospodarstwo". Hasło Wielkiej Polski przeciwstawione zostało w ten sposób drobnym ambicjom i małostkowym interesom partyjnym czy klasowym. Dni najbliższe okażą, jaki oddźwięk znajdzie ono pośród przywódców stronnictw, a przedewszystkiem wśród najszerszych kół społeczeństwa.

Większe atoli wrażenie, niż toczące się narady i rokowania przedwyborcze, wywarł na opinji publicznej nowy akt rozzuchwalonego bezkarnością politycznego terroru, tym razem zwróconego przeciwko świetnemu pisarzowi i zasłużonemu publicyście, Adolfowi Nowaczyńskiemu. Dn. 23 z. m. Adolf Nowaczyński zatrzymany został na ulicy przez trzech zbirów, z których jeden ubrany był w mundur przodownika policji, a którzy przedstawiwszy mu sfałszowany nakaz aresztowania zaprowadzili go do samochodu i wywieźli za miasto, i tam, w pobliżu glinianek na Woli, bili pałkami, wyrywali włosy, kopali ze zwierzęcem okrucieństwem. Jeden z opryszków odezwał się: „Franek, zróbmy z nim koniec — rzućmy go do sadzawki!" Na szczęście krzyk przechodzącej właśnie w pobliżu kobiety spłoszył zbrodniarzy, zaś ciężko poranionego pisarza odwieziono na dłuższą kurację do lecznicy.

Nikczemny napad z różnych stron spotkał się z wyrazami najżywszego oburzenia i najsurowszego potępienia. Podnoszono słusznie, iż zuchwalstwo zbirów podniecone zostało bezkarnością dotychczasowych napadów na b. ministra Zdziechowskiego, red. Mostowicza i innych. Przypominano słusznie, że tym razem ofiarą napaści stał się pisarz znakomity, którego dzieła pozostaną trwale w polskiej literaturze, patrjota gorący, który w latach okupacji niemieckiej z największem narażeniem się wydawał tajne ulotki i pisał tajne broszury, podtrzymujące ducha oporu przeciw najeźdźcom. Wzywano rząd, żeby okazał największą energję i bezwzględność w sprawie wynalezienia i przykładnego ukarania zbrodniarzy.

My ze swej strony pozwolimy sobie tylko jeszcze na jedną uwagę. Cóż byłoby się stało, gdyby szczęśliwie nie przechodziła właśnie tamtem odludziem kobieta, a „Franek" zdołał spokojnie wypełnić polecenie, jakie był otrzymał? Czy w dziennikach nie pojawiłaby się wówczas... hypoteza: „Tajemnicza ucieczka Adolfa Nowaczyńskiego"?

J. R.

NAUKA I LITERATURA

HELLENIZM I JUDAIZM

ŚWIEŻO wydany drugi tom znakomitego dzieła T. Zielińskiego „Hellenizm i judaizm" posiada te same cechy, co scharakteryzowany w „Myśli" pierwszy: przeważnie filozoficzno-literackie traktowanie przedmiotu, olbrzymią w tym zakresie wiedzę, fenomenalną pamięć autora, pozwalającą mu mozajkować wykład z niezliczonych drobnych przytoczeń w przedstawieniu żywem i jasnem, stanowisko wyłącznie historyczne, odcinające zupełnie przeszłość od związku z teraźniejszością. W obecnym tomie jest mowa o Torze, o Jehowie w stosunku do narodów, o Filonie i wogóle o apologetach judaizmu; ostatni rozdział zamyka dzieło uogólnieniami, i przeszło 100 stronicami przypisków, cytat i wykazu źródeł. Mamy w nim resztę dowodów, popierających naczelną tezę prof. Zielińskiego: pomiędzy judaizmem a hellenizmem zachodzi sprzeczność w zasadniczych punktach, to też Nowy Testament, który nawet teoretycznie narodził się w ziemi judejskiej najbardziej shellenizowanej (Galilei), nie jest dalszym ciągiem Starego Testamentu, lecz wyrósł z kultury greckiej, albo inaczej — chrystjanizm nie jest owocem judaizmu, ale hellenizmu. Musimy poprzestać na tem ogólnem wyrażeniu tezy bez streszczenia zbyt wielkiej masy popierających ją argumentów, ale jedną jej stronę należy oświetlić dokładniej. Może niema w literaturze świata drugiej książki, którąby tak oczywiście przekonywająco, a nadewszystko tak dowodnie okazała biegunową przeciwległość dwóch systematów myśli, uczuć i dążeń — starozakonnego i nowozakonnego. Autor nie pominął ani jednego punktu przeciwieństwa, ani jednego ciemnego rysu religji żydowskiej. W jego obrazie Jehowa występuje jako okrutnik, morderca obcych narodów, opiekun, doradca i patron najdzikszych rzezi, najohydniejszych podstępów, oszustw i wszelkich nieprawości.

Przy wyjściu izraelitów z Egiptu, uczy Józefa, co i jak mają ukraść mieszkańcom. „A gdy cię wprowadzi Pan Bóg twój — mówi przez Mojżesza — do ziemie, o której przysiągł ojcom twym i dać miasta wielkie i bardzo dobre, któryćheś nie budował, i domy pełne wszystkich bogactw któryćheś nie budował, studnie któryćheś nie kopał, winnice i oliwnice, któryćheś nie sadził, a będziesz jadł i pił i na-

jesz się". A jak ma postąpić z mieszkańcami, którzy „budowali" te rzeczy? „Wybijesz je do szczętu. Nie weźmiesz z nimi przymierza, ani się zlitujesz nad nimi... Ołtarze ich wywróćcie, i bałwany pokruszcie, i gaje wyrąbcie, i ryciny popalcie". Wszystkie okrucieństwa, oszczerstwa, posługiwanie się nierządnicami przy zdobywaniu miast, uprawnianie niegodziwości i nienawiści wobec „gojów" usprawiedliwiają się wyrażeniem Ezdrasza, że Jehowa „stworzył świat dla nas" (żydów). Naturalnie, jeżeli tak jest, to wszystko poza „ludem wybranym" może i powinno być zniszczone, wszystkie narody „nieobrzezane" — wytępione. Obrzezanie bowiem — chociaż ta potworna głupota nie mieści się w umyśle kulturalnym i może być zrozumiałą tylko na poziomie barbarzyństwa[1]) —jest aktem „przymierza" wiernych z Bogiem, jest głównym znakiem, jak gdyby herbem szlachectwa żydowskiego. Trzeba czytać Renana, ażeby uwierzyć, że ta opozycja była zasadniczym przedmiotem, około którego obracała się walka Starego Zakonu z Nowym nawet po śmierci Chrystusa. Prof. Zieliński wydobywa ze źródeł wszystkie ujemne cechy judaizmu, nie tai swojej odrazy do objawów szczególnie wstrętnych, które nazywa „hotentotyzmem" przyznając, że on „był na zawsze i nieodwołalnie przykuty do poziomu swoich barbarzyńskich czasów", wreszcie uogólniając swoje wywody, mówi: „Mamy z jednej strony społeczeństwo grecko-rzymskie z jego zasadniczą i powszechną tolerancją, z jego bezgranicznem zamiłowaniem samego pojęcia ludzkości, przezeń tylko przezeń stworzonego, z drugiej strony lud zamknięty w sobie, niegościnny dla obcowyznawców, wszystkich nienawidzący, wszystkim złorzeczący oprócz samego siebie".

Dzięki zupełnemu wyłączeniu się z całej ludzkości i niezłomnemu uporowi życia śród innych narodów, „wedle swoich praw", dzięki skrajnej sprzeczności z wszelkiem obcem otoczeniem, wreszcie dzięki szczególnemu układowi stosunków, w którym wrogowie rządu byli jednocześnie wrogami żydów, zdołali oni wywalczać sobie przywileje niezależności. Gdy zaś znaleźli się w posiadaniu siły, „mając ubezpieczoną wolność własnego kultu z jej bardzo daleko idącemi skutkami, lud judejski zaczął prowadzić wojnę zaczepną z religją innych narodów na ich własnej ziemi". Tak było w Egipcie za cesarzów rzymskich, gdzie wybuchły pierwsze pogromy. „Wybuchowym materjałem — mówi prof. Z. — była głęboka, żywiołowa, gromadzona w ciągu długiego spółżycia niechęć Hellenów i pogan wogóle do tej drzazgi, którą oni odczuwali w ciele swych miast. W olbrzymiej i przeważnie greckiej Aleksandrji zagnieździła się poważna liczba obywateli żyjących swojem odrębnem życiem, ponieważ uważała bogów swoich gospodarzów za obrzydłe bałwany" a ich samych za „nieczystych", z którymi żadne obcowanie nie jest możliwe. Od władz wymagała ona dla siebie coraz większych praw, uchylając się jednocześnie, o ile można, od pełnienia obowiązków obywatelskich".

Najściślejszy historyk nie przestaje być człowiekiem teraźniejszości i obywatelem narodu, z którym wiąże się przedmiot jego badania. Prof. Z. tak lęka się, ażeby go nie posądzono o antysemityzm i nie związano jego wywodów z obecnem położeniem Polski, z jej społeczno-religijną i kulturalną walką tych samych wrogich żywiołów, które przedstawia w swej pracy, że podzieliwszy dzieje „ludu wybranego" na trzy okresy: izraelski, judejski i żydowski, zastrzega, że mówi tylko o dwóch pierwszych, odpędza od siebie nasuwające się natrętnie analogje, unika nawet wyrazu żydzi i wyraża nadzieję, że treść jego książki nie oddziała ujemnie na jego przyjazny stosunek do „pięknej synagogi (warszawskiej, z której książek korzystał) i jej szlachetnych, humanitarnych (?) tendencyj". Wszystko to jednak nic nie pomaga: prof. Zieliński jest antysemistą i bardzo silnym, bo przekonywającym ogromną wiedzą i talentem. Że się do tego nie przyznaje, że się tego wypiera, to wcale faktu nie zmienia. Zamknięcie oczu nie usuwa „drzazgi", która tkwi i dokucza. Antysemistą ideowym może nie być tylko albo fałszerz historji, albo jakiś zwyrodniały amator obrazów barbarzyństwa w galerji cywilizacji. A nadewszystko musi nim być wielbiciel i kochanek kultury helleńskiej.

A. Ś.

[1]) Autor daje w pierwszym tomie dziwne objaśnienie tego dziwnego obyczaju: prawodawca ustanowił go jako „męczeństwo śmieszności", ażeby zahartować żydów na inne cierpienia.

NOWE DZIEŁO STAFFA

Po śmierci Kasprowicza i zamilknięciu Tetmajera berło naszej poezji lirycznej dzierży niewątpliwie Leopold Staff, poeta w równej mierze płodny, jak i żywy, t. zn. twórczo dojrzewający ku prawdzie swej duszy. Tom ostatni poezyj pod przejrzystym ewangelicznym tytułem „Ucho igielne" (Mortkowicz, 1927 r., str. 108), znaczy wyraźnie ów postęp nieustanny poety. Niewątpliwy wpływ „Księgi ubogich" Kasprowicza jest już widoczny choćby z tytułu: owe bogactwo, co przeszkadza bogaczowi wejść do Królestwa Niebieskiego, to skarby duchowe poety i jego zazdrośnie chowana niepodległość wewnętrzna oraz żądza wieczystego poszukiwania, którą Staff tak gorliwie sławił. Ala tomik niniejszy poezyj jest właśnie takiem „uchem igielnem", przez które w pokorze poeta przejść pragnie. A że:

„Kto szuka Cię, już znalazł Ciebie,
Już Cię ma, komu Ciebie trzeba —"

więc i tu poeta przekonywa się, iż

„Bóg był bliższy mnie, niż ja sam sobie."

Z goryczą więc przypomina te dni, gdy jak Kasprowicz „wadził się" z Bogiem:

„Pisałem z głupią pychą przez b małe
Wielkie potężne Twoje Boga imię."

Dziś poeta składa znamienną przysięgę:

„Ani jednej myśli odtąd wstecz!
Przebrnąć! Przerwać! Przebić się! Bez trwóg,
Aby utkwić tam, gdzie cel, gdzie Bóg!"

Znane akordy ku chwale przyrody i równie znane tony współczucia dla ludzkiej niedoli uzupełniają w tym tomiku wyrazy radości z rzeczy powszednich, radości przepojonej ciężką zadumą świadomości i smutku. Ale poeta wie, iż „bardziej niźli chleba, poezji trzeba w czasach, gdy wcale jej nie trzeba."

I to snadź go trzyma przy życiu!

S. C.

*

Z powodu ukazania się tej książki obradujący pod koniec tego roku komitet państwowej nagrody literackiej przyznał Leopoldowi Staffowi tegoroczne odznaczenie. Nie jest to nagroda pieniężnie wysoka (5000 zł.), ale jako oznaka hołdu ma dużą wartość i ze wszech miar należała się Staffowi.

PRAWO STWORZENIA

Pragmatysta W. James, zwalczając swych przeciwników—zwolenników Absolutu zarzucał im, że nie mogą oni przejść od Absolutu do świata rzeczy poszczególnych i wyprowadzić żadnych wniosków, mających doniosłe znaczenie dla życia i w zagadnieniach o rzeczach skończonych zmuszeni są szukać ratunku w pomysłach doczesnych. Dlatego James odrzuca roszczenia do absolutnego ujęcia świata, nie uznaje prawdy

absolutnej, a nawet miesza ją z dobrem. O ile pierwsza teza jest prawdziwa w odniesieniu do niemieckich filozofów, którzy dostatecznie wykazali swą niemoc wyprowadzenia rzeczywistości z istoty Absolutu, o tyle druga teza, przemyślana do końca, doprowadziłaby niechybnie do sceptycyzmu absolutnego; prócz tego pomieszanie u James'a dziedziny prawdy z dziedziną dobra jest aż nadto rażące nawet dla ludzi, nie zajmujących się filozofją, by mogło utrzymać się przy głębszem wniknięciu w sedno rzeczy. Twórca filozofji absolutnej, Hoene-Wroński, jeszcze dosadniej wyraża bezowocność usiłowań pokantowskiej filozofji przejścia od Absolutu do świata rzeczy stworzonych, mówiąc, że Absolut niemieckich filozofów to skorupa od jaja, z której chcą oni wyprowadzić wszechświat, atoli nie tylko uznaje dążność do Absolutu za naturalną potrzebę rozumu ludzkiego, nie tylko uzasadnia konieczność przyjęcia pojęcia Absolutu, lecz jednocześnie uważa, że przez odkrycie Prawa Stworzenia iści to przejście od Absolutu do świata.

Prawo Stworzenia, ujęte przez H.-Wrońskiego przez intuicję genetyczną, a wyprowadzone na drodze rozwoju filozoficznego, jaki myśl ludzka otrzymała przez szkołę Kanta, znane było niewielu uczniom Hoene-Wrońskiego, którzy zadali sobie trud zgłębić jego doktrynę, naogół zaś było ledwie wspominane przez autorów, którzy pisali o H.-Wrońskim i jego doktrynie.

F. Warrain, który od dłuższego czasu pracuje nad filozofją absolutną (od r. 1906 wydał kilka obszernych prac i ogłosił wiele rozpraw, ściśle związanych z nauką H.-Wrońskiego) w końcu r. 1925 wydał obszerną pracę p. t. *„L'Armature métaphysique établie d'après la Loi de Création de Hoene-Wronski“* (u F. Alcana), w której na drodze odmiennej, mianowicie, posługując się jedynie trzema prawami albo wymagalnikami logiki (tożsamości, sprzeczności, dostatecznej zasady) gruntownie i szczegółowo uzasadnia Prawo Stworzenia, stosuje je i rozwija, uwzględniając takie zdobycze nowszej filozofji.

Autor powiada, że Prawo Stworzenia czyli Kanon filozoficzny stanowi szczyt wiedzy ludzkiej i zapewnia rozległe postępy myśli na bardzo długi czas, a dochodzi do tego wniosku po obszernym rozbiorze poprzednich prób ustanowienia składników rzeczywistości, a zwłaszcza ich troistości (element — byt, element — wiedza, element naturalny albo podstawowy) [1] i wykazania niedostateczności tryad różnych filozofów (najdłużej zatrzymuje się na Heglu). Tryada H.-Wrońskiego zbliża nas, według niego, do ideału wiedzy. Nie wchodząc w bliższe rozważanie pracy Warrain'a [2], przytoczymy niektóre znamienne myśli autora, zgodne z nauką H.-Wrońskiego, którą autor jak zaznacza w swej pracy, chce tylko wyjaśnić i uzupełnić. Uważa on, że systemat H.-Wrońskiego (w swej spekulatywnej części) godzi niezależność myśli i rzeczywistości z ich istotnem zjednoczeniem, tak że przeciwstawienie myśli i rzeczywistości jest tylko względne i upodobnić myśl do rzeczywistości jest przemienić we względność to, co absolutnego przedstawia rzeczywistość. Względność określa się tu przez stan rozłączenia częściowego elementów bytu i wiedzy, rzeczywistości i myśli. Przy urzeczewistnieniu wszechświata rozum rozwija się od Absolutu ku względności, zaś życie od względności ku Absolutowi, tak że rozum i życie dążą ku przenikaniu się wzajemnemu, które stanowi psycho-rozumową jednię wszechświata.

Zacytowane myśli pozwalają przewidzieć krytykę autora w stosunku do pragmatyzmu i relatywizmu: pragmatyści głoszący prymat czynu, zapominają, według niego, że, po wyłączeniu z czynu bytu i wiedzy, otrzymuje się puste pojęcie; teza relatywistów, że wszelkie istnienie sprowadza się do ustosunkowania, które jest rzekomo jedynym trybem wszelkiej rzeczywistości, przeocza, że to, co jest dane jako ustosunkowanie, zawiera jeszcze funkcję Absolutu.

Autor podaje bardzo interesujące i subtelne rozróżnienie dobra i prawdy. Dobro rozumiemy jako zaspokojenie pragnienia, atoli w życiu doczesnem całkowitego zaspojenia pragnień nie znajdujemy, albowiem nie możemy jednocześnie uczynić zadość naszej zmysłowości i naszemu rozumowi, stąd pozostaje przeciwstawienie dobra zmysłowego i dobra moralnego; tylko dobro w znaczeniu umysłowem uczestniczy w jednem i drugiem. Zgodność z prawem nie jest jeszcze dobrem samem w sobie, lecz dobrem jedynie przez to, że zadowala rozum; zaś zadowala rozum nie dlatego, że ideał jego polega na uleganiu prawu, lecz dlatego, że prawo jawi się dla rozumu jako środek do osiągnięcia ideału. Ideałem tym jest radosne napawanie się rzeczywistością absolutną, która, z kolei, sprowadza się do zjednania bytu i wiedzy. Dobro najwyższe odpowiada tym sposobem idei Rzeczywistości absolutnej, zaś prawda niewarunkowa — idei Słowa, t. j. wiedzy, aktualnie wytwarzającej myśl.

Dzieło Warrain'a zajmuje się prawie wyłącznie Prawom Stworzenia, t. j. naczelnem i najtrudniejszem zagadnieniem filozofji absolutnej, dlatego wymaga od czytelnika przygotowania filozoficznego. Pomocniczą książką do tego dzieła, niejako uzupełnieniem jego, jest praca, napisana również przez Francuza, Cherfils'a p. t. *„Un essai de religion scientifique. Introduction à Wronski, philosophie et réformateur“*, przeznaczona dla ogólnego zaznajomienia się z całością doktryny H. Wrońskiego. Pracę swoją poświęca Warrain pamięci H. Wrońskiego, zaś Cherfils pamięci Ivon Villarceau, astronoma francuskiego, gorliwego obrońcy i promotora filozofji matematyki Hoene Wrońskiego. Nadmienić tu możemy, że we Francji powstała już obszerna literatura, poświęcona filozofji muzyki; jedna z prac tego zakresu (E. Britt'a) została świeżo przetłumaczona przez F. Weingartnera, znanego kompozytora i muzykologa na język niemiecki.

PAULIN CHOMICZ

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Dn. 20 grudnia z. r. odbyła się w Krakowie uroczystość uczczenia zasług dwuch znakomitych językoznawców, prof. Jana Łosia i prof. Jana Rozwadowskiego. O zasługach naukowych prof. Łosia mówił prof. uniw. warsz. Stanisław Szober, wspominając jego pracę nad naukowym całokształtem gramatyki polskiej oraz nad „Słownikiem Staropolskim“. Zasługi prof. Rozwadowskiego scharakteryzował prof. uniw. warsz. Wiktor Porzeziński, zaznaczając iż dziełami swemi spowodował on zupełną przemianę poglądów uczonych europejskich na podstawowe zagadnienia psychologji języka. Następnie odpowiadali prof. Łoś i prof. Rozwadowski. Jubilatom ofiarowano księgi pamiątkowe.

*

Grono wielbicieli wielkiego uczonego prof. Oswalda Balzera, pragnąc uczcić niezwykłe jego zasługi dla nauki i kraju, postanowiło złożyć mu w uroczystym hołdzie od społeczeństwa złoty medal, wybity na jego cześć. W tym celu zawiązał się Komitet Obywatelski, który ma ogłosić odezwę do społeczeństwa.

U SŁOWIAN

Znany czeski badacz literacki J. Mensik zamieścił w jednym z ostatnich numerów doskonałego pisma naukowego *„Casopis pro moderni filologia literatury“* (Praga, r. XIII., zesz. 3—4) interesujące studjum o wpływie Mickiewicza na poetę czeskiego romantyzmu K. H. Máchę (1810—1836). Mácha równie jak Mickiewicz zachwycał się Byronem i Byron to silnie łączył czeskiego

---

[1]) Problemat rzeczywistości omówiliśmy obszerniej w rozprawie naszej: „Byt i wiedza, jako elementy rzeczywistości, w fil. abs. H.-Wrońskiego" (Ob. zesz. I. II „Przeglądu filozoficznego“, 1926 r.).

[2]) Sprawozdanie o charakterze bardziej specjalnym, filozoficznym, omawianego dzieła podaliśmy w pismach filozoficznych (w „Kwartalniku filozof.“ i „Przeglądzie Filozof.“).

poetę z polskim. Np. wiersz Máchy „*Budouca vlast*“ silnie przypomina wyrażeniami przekład Mickiewicza „Pożegnanie Childe-Harolda“. Mácha czytał Mickiewicza w oryginale, cytował często, używał cytat z niego jako *motta* w swych utworach. Lubował się w sennych, grozą przejmujących obrazach, np. poemat jego „Mnich“ pisany był pod wpływem „Dziadów“, jest tam nawet charakterystyczne wyrażenie „*...ticho vsude, ticho vsude—co to bude, co to bude?*“ Przepiękny poemat Máchy „*Máj*“ w opisach przyrody jest pod silnym wpływem Mickiewicza. W tymże numerze tego czasopisma jest przychylna ocena studjem K. Górskiego „Mickiewicz jako historyk i krytyk czeskiej literatury“, drukowanego w ostatnim (32—33) tomie „Pamiętnika Literackiego“.

*

Historjografja Słowian południowych wzbogaca się coraz to nowemi poważnemi dziełami. Świeżo znów wyszła w Białogrodzie (wydawnictwo *Narodna prosveta)* godna uwagi praca dra Vladimira Nikolica-Zemunskiego pt. „*Istoria cara Stevana Duszana*“, dzieje największej postaci średniowiecznej historji serbskiej. Dzieło swe poświęcił autor pamięci króla Piotra Karadjordjewicza jako tego, który program cara Duszana zrealizował, jednocząc naród serbochorwacki. Na podstawie źródeł epoka przedstawiona jest jaknajdokładniej. Charakterystyka postaci głównych: Duszana, króla Vukaszina, Vuka Brankovica, według krytyki serbskiej, jest znakomita. Polityka Duszana naświetlona jest także z nowego stanowiska, jego stosunku do Rzymu. oDniosłą zaś wartość posiada omówienie słynnego kodeksu Duszana, stanowiące jądro pracy.

*

Wśród wydawnictw chorwackich zaznaczył się i polski autor, mianowicie prof. J. Strzygowski (prof. uniw. wiedeńskiego). *Macierz Chorwacka* w Zagrzebiu wydała ostatnio jego dzieło „*O starohrowackoj umjetnosti*“ t. j. „o sztuce starochorwackiej“, które spotkało się z nader życzliwem przyjęciem. Prof. S. przedstawia najpierw wszystkie czynniki, które wpłynęły na ukształtowanie się kultury chorwackiej, tak wpływy otoczenia na duszę narodu, jak i naleciałości i wpływy obce. Przyznaje sztuce, głównie arohitekturze chorw. oryginalność, czem staje na zupełnie nowem stanowisku, twierdzenia swoje zaś wyprowadza z bogata materjału naukowego, to też krytyka przyznaje dziełu prof. S. ważne miejsce w dziejach chorwackiej kultury narodowej.

*

Po niemiecku wydał słowieniec, prof. uniw. praskiego dr. Matija Murko swą interesującą pracę o ruchu reformacyjnym wśród Słowian południowych, głównie Słowieńców. Wyszła ona (Praga-Heidelberg) pt. „*Die Bedeutung der Reformation und Gegenreformation für das geistige Leben der Südslaven*“ (osobna odbitka z IV i V rocznika „*Slavii*“). Zajmujące jest przedstawienie przez autora ruchu reformacyjnego jako zarazem prądu budzącego słowiańskie poczucie narodowe. Protestantyzm słowieński ochraniał język narodowy, wydawał pierwsze druki. Wskutek prądów przeciwreformacyjnych zanikł w VII w., dziś drobna tylko garstka Słowieńców (25 tys.) wyznaje protestantyzm. W każdym razie jest dużą zasługą reformacji właśnie przyczynienie się do rozwoju literatury religijnej, w mowie ludu pisanej i do wykształcenia języka.

*

Naród bułgarski obchodzi w tym roku nader uroczyście pięćdziesiątą rocznicę wojny „oswobodzicielskiej“, którą toczyła w r. 1877 — 78 Rosja z Turcją, a której wynikiem było odnowienie państwa bułgarskiego. Serdeczny sentyment bułgarski dla Rosji w związku z tą rocznicą ujawnia się w całym szeregu uroczystości i publikacyj przedmiotowi temu poświęconych. Godne są uwagi m. in. publikacje Towarzystwa Słowiańskiego w Sofji, które m. in. poświęciło rocznicy specjalny podwójny numer swego kwartalnika *Słowiański Głos* (R. XXI, Nr. 2 — 3). Interesującą się tam zwłaszcza nast. artykuły: Rosja i Słowiańszczyzna (A. Ł. Pogodin) — Pięćdziesięciolecie... wojny o nasze oswobodzenie (S. S. Bobczew). Oczekiwanie i przyjęcie Wojny o Oswobodzenie w twórczości Iwana Wazowa (N. Bobczew) — Niektóre obecne zagadnienia Problemu Wschodniego (I. Panajotow) — Puszkin i dzień kultury rosyjskiej (M. L. Hofman) i w in. Do „polonik“. w tym numerze można zaliczyć częściowo artykuł o zmarłym naszym przyjacielu prof. B. Penewie.

Zwłaszcza zasługuje na uwagę wstępny artykuł rosyjskiego slawisty Pogodina. Twierdzi on, że Rosja wypełniła swoją misję oswobodzenia Słowian, a jedynym rozumnym aktem ros. Rządu tymczasowego nazywa uznanie niapodległości Polski. Niewiadomo jednak, o ile prof. Pogodin zdolny jest do objektywizmu w sprawie polsko-rosyjskiej; nas jego sąd o manifeście W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza w r. 1914, i cytowanie pochwał Trembeckiego dla Katarzyny II za rozbiór Polski — usposabia sceptycznie do tego. Można coprawda przypuścić, iż p. Pogodin nie zna zbyt dobrze historji polskiej, w czem umacnia nas jego twierdzenie, że „Bolesław Chrobry... zabił biskupa Stanisława“ (str. 99).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Studjum o R. L. Stevensonie napisał autor, który może najlepszy miał tytuł potemu: świetny twórca, znakomicie reprezentujący żywioł akcji i fantazji w dzisiejszej literaturze angielskiej, świetny biograf Blake'a, Dickensa i Browninga: G. K. Chesterton. Studjum to nosi tytuł: „*R. L. Stevensen. An Intimate Biography*“ („Biografja poufna“) i wyszło nakładem firmy londyńskiej Hader i Stoughtor.

*

Ta sama firma wydała ostatnio wielki tom, obejmujący całość dorobku poetyckiego Rudyarda Kiplinga, aż po rok 1927. W stosunku do wydania poprzedniego z r. 1918 wzbogaciło się to nowe o trzydzieści pięć utworów, z tych jeden wydrukowano wogóle po raz pierwszy. Wyśmiewanie Kiplinga obowiązuje dziś w Anglji krytykę „postępową“, ale nie powinniśmy się łudzić: Kipling, to może największy z żyjących poetów angielskich, a — po śmierci Kasprowicza — chyba także największy poeta w Europie. Prawda, że napisał wiele rymowanej publicystyki i ta jest zresztą bardzo ciekawa, jako wyraz zapatrywań Anglika, patrjoty i tradycjonalisty, „*die-harda*“. Recenzenci angielscy wypominają poecie tę rymowaną publicystykę na każdym kroku, lecz prawdziwe klejnoty jego poezji nie stracą przez to blasku.

*

H. A. Vachell, stylista nieraz świetny, pisze teraz może zbyt pośpiesznie, lecz zawsze powieści jego są godne czytania, bo należą do najbardziej angielskich utworów w angielskiej beletrystyce współczesnej. Wypada obecnie dopisać nową pozycję w dorobku tego utalentowanego powieściopisarza, mianowicie pełne humoru opowiadanie p. t. „*Miss Torrobin's Experiment*“ (wyd. firmy Cassell).

NOTATKI I MATERJAŁY

ZAPOMNIANY WIERSZ NORWIDA

CO ROBIĆ?

Śród Europy, nie dla obyczaju
Chrzczonej, — co począć w rozebranym kraju?
Co robić? — pyta ten, tamten i owy:
Rozłamanego Narodu trzy głowy.
Pojrzeć ku górze — pod ołtarz narodów,
Gdzie z całej armji został strażnik schodów,
Z korony blaski odleciały święte,
Berła nie widać, chorągwie zwinięte
I usunięta kraina z pod stopy.
— A czy się wdarł kto na ducha okopy?
A czy i gwałcić kto śmiał nieostrożnie,
Gdy cierpią czujni — i milczą wielmożnie?
Jeżeli przeto ta ojczyzna twoja
Jest historyczna (a nie jest jak Troja!)
Niech jak Rzym będzie i Mszy dziejów słucha,
Tak jak on perląc różaniec łańcucha,
Milcząc, jak milczą, trwając, jak tam trwają,
Pokąd się harfy nie ponastrajają...
Lub — jeśli wzory przenosząc realne,
Ojczyzna jest to bagno lakustralne,
A ludów prawem są koście Mamuta, —
To niech ją depczą — i zgnije zepsuta!

CYPRJAN NORWID

[Wiersz ten, dziś zapomniany, ukazał się w „Czasie“ 1875 roku (Nr. 168). Ważny zarówno dla poglądów patrjotycznych, których jest wyrazem, jak i dla pojęć religijnych poety (ideał papiestwa, nie pierwszy i nie ostatni raz ujęty tu przez Norwida w kształt poetycki), wart jest przypomnienia. — St. Pigoń.

NOWE KSIĄŻKI

Krzesiński Andrzej ks. doc. un. Niezwykłe dzieje Teresy Neumann z Konnersreuth. Na podstawie własnych spostrzeżeń. Warsz. 1927. Dom książki pol. Str. 31.

Grodzieńska Łucznikowa Wanda. Promyki. (Poezje). Pułtusk 1927.

Baliński Stanisław. Wieczór na Wschodzie. Warsz. 1928. J. Mortkowicz (poezje).

Żeromski Stefan. Elegje i inne pisma. Przygotował do druku Wacław Borowy (Z portretem i autogr.). Warsz. 1928. J. Mortkowicz.

Augustynowicz Jan. Ksiądz Prot. Historja ludzka. Powieść. Wyd. 3-cie. Warsz. 1928. Dom książki polskiej.

Gąsiorowski Wacław. Huragan. Powieść historyczna z epoki Napoleońskiej. Wyd. 4-e. 3 tomy. Warsz. 1928. Dom książki polskiej.

Żółtowska Zofja. O etyce życia narodowego. Szkic. Poznań 1927. Str. 80.

Nakładem księgarni F. Hoesika w Warszawie wyszły:

Jorgensen Joh. Pielgrzymki franciszkańskie. Przekład Teodory Manteuffel. (Z ilustr.).

Hulewicz Jerzy. Dzieje Utana (Nowele).

Mussolini Benito. Rzym starożytny na morzu. Przeł. Fr. Szymanówna.

Serafinowicz Wacław. Szczęście. Powieść.

Miłaszewska Wanda. Pierwsza miłość. Nowele.

Hulewicz Witold. Sonety instrumentalne.

Pawlikowska Marja. Cisza leśna. Poezje.

Łopalewski Tadeusz. Piękna podróż. Poezje.

Firma wydaw. Renaissance wydała:

Sljoskin Jurij. Olga Org. Romans.

Belmont Leo. Królewska miłośnica. Powieść.

Nakładem J. Mortkowicza (Tow. Wydawn.) w Warszawie wyszły:

Noyszewski-Piołun Stan. Stefan Żeromski. Dom dzieciństwo i młodość. Str. 374, portrety i autogr.

Kunceiczowa M. Twarz mężczyzny. Powieść.

Leonardo da Vinci. Bajki. Zebrał i przełożył Leopold Staff (Z ilustr.).

Dickens Karol. Dawid Copperfield. Tomy 5 i 6.

Strug Andrzej. Mogiła nieznanego żołnierza. 2 tomy. Powieść.

Z literatury dla dzieci i młodzieży firma Gebethner i Wolff wydała:

Barszczewski Stefan. Przygody kapitana St. Claira. Powieść z 16 ilustr. K. Mackiewicza.

Hodgson Burnett Fr. Tajemniczy ogród. Powieść. Wyd. II, z 8 ilustr.

Dynowska Marja. Polska w zwyczaju i obyczaju. Z 10 ilustr. K. Mackiewicza.

Carroll Lewis. Ala w krainie czarów. Przełożył M. Morawski. Z ilustr.

Tow. Wydawn. w Warszawie (J. Mortkowicza) wydało dla dzieci:

Mortkowiczówna Janina. Anulka czyli osiem lat życia dziewczynki.

Żurakowska Zofja. Pójdźmy w świat. 2 części.

Szelburg Ewa. Bracia miesiące. Rys. H. Mortkiewiczówny.

Szelburg Ewa. Renine wierszyki ilustrował T. Różankowski.

Pozatem wyszły dla dzieci książki:

Daszyńska Julja. Słoń Duda. Obazki Eligjusza Niewiadomskiego (Cena 2.80)

Lewicka Anna. Wśród dzieci i młodzieży różnych ludów. Z 32 ilustr. Lwów. Sp. nakł. Odrodzenie.

Lewicka Anna. W jasnej wsi. Obrazki z życia dzieci i przyrody. Lwów 1927. Odrodzenie.

Weryho Marja. Na wakacjach. Opowiadania. Z ilustr. Warsz. Gebethner i Wolff.

NA MARGINESIE

Jak stoi sprawa polsko-litewska? Tylko ten w Polsce to rozumie, kto zna dobrze język francuski. Zapadła w tej sprawie rezolucja Ligi Narodów, a zakończenie tej uchwały w depeszy urzędowej Pol. Agencji Telegr. brzmiało: „Rada oświadcza, że rezolucja ta w niczem nie przesądza spraw, co do których między Rządami zachodzą różnice poglądów". Ponieważ Litwa bardzo się różni w poglądach na nasze granice (chodzi jej o całą Wileńszczyznę), które, zdawało się, są gwarantowane, więc nie można się dziwić powszechnemu zaniepokojeniu, że tak wygląda nasze zwycięstwo (*veni-vidi-vici*). Zbliżony do rządu „Kur. Por." zakwestjonował poprawność przekładu agencji. Czasownik „nie przesądza" nie odpowiada tekstowi, gdzie użyto wyrazu „*n'affecte en rien*". Według słownika synonimów (niestety hotelowego) należałoby po polsku powiedzieć: „nie porusza"... Aliści p. Stroński w „Warszawiance", który jest profesorem romanistyki, ma słownik gruntowniejszy, z którego wynika, że jedynie można tu użyć wyrazu „narusza". A więc rezolucja — nie narusza spraw i poglądów Kowna. Wszystko zawisło — od słownika, jakiego używa P. A. T. lub „Kurjer Poranny", biegły jedynie w języku — cygańskim. Jakie szczęście, że Liga Narodów nie używa jeszcze języka Esperanto. Tożby nas różni delegaci cyganili! Tak czy owak to jest najgorsze, że komuś w Polsce może zależeć na tem, aby nie znano w kraju prawdy. Dziennik pół-urzędowy „Głos Prawdy" samą chęć zbadania istoty rezolucji nazwał zdradą, dokonywaną za pieniądze litewskie...

*

„Polska staje się coraz bardziej rycerzem ideałów pokoju". I to w stosunkach zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych. „Stanowi to treść polskiej racji stanu". Pisze tak publicysta organu, stojącego przy rządzie, p. Grosstern w „Epoce", która jednocześnie donosi o zamachu, dokonanym przez rycerzy pokoju na publicystę obozu narodoweeo. Przytaczamy ten szwargot na pokaz, do jakiego stopnia rycerze pokoju czy przedpokoju załgali się w tej biednej Polsce. Naco bowiem ona zeszła! Artykuł gwiazdkowy pisze żyd, który nie potrafi wymówić imienia Chrystusa. „Obchodzimy — powiada — Gody, dzień tradycyjny i symboliczny"... Wymienia tylko trzy nazwiska: 1) „odnowiciel państwa polskiego Marszałek Józef Piłsudski", w którego rozkazie majowym „brzmiały nuty pokoju i dobrej woli", „zgody i braterstwa", 2) wielki myśliciel i poeta Andrzej Strug i 3 Adam Mickiewicz. Miło podpisać się na czwartem miejscu mąż stanu St. Grosstern.

*

Między Sanacją a mniejszościami narodowemi zaszło: zabawne nieporozumienie przedwyborcze, sądziła bowiem, że stworzą wspólny obóz, jako że uzdrowiona Mała Polska chce być narówni też mniejszością. Tymczasem tamci blokują się osobno przeciwko Polsce wogóle, lewej czy prawej. Zrobiono, zdawało się, wszystko, żeby ster Małej Polski oddać żydom. Z Lewicy uczyniono dwuznacznik, przyznając suwerenność Lewitom ze stolicą Na-lewkami. Prasa sanacyjna pisana jest przez żydów lub dla żydów. Fejletony od swej nalewkowskiej lewicowości nazywane są „Na-od-lew". Kapłanka fejletonu takiego, strzyżona na lwicę, jest lewiczką, bo z Lewicy, odlewa swój „Naodlewek" od Nalewek, bo z przekonań Lewitka. I wszystko to nie pomaga— żydzi nie chcą Małej Polski wziąć do bloku. Mała Polska i tak wszystko im da, czego zechcą. Mniejszości zakpiły sobie z Lewicy polskiej, robiąc z niej felczerski aparat sanacyjny dla swego własnego zdrowia.

*

P. J. Baudouin de Courtenay, niepospolity lingwinista i bardzo pospolity filozof i socjolog, uczuwa nieodpartą potrzebę dostarczania światu w artykułach i broszurach przyczynków do swej biografji, przyczem dogadza drugiej, dawniejszej potrzebie — przeciwstawiania się ogółowi, zwłaszcza polskiemu i wypowiadania mu rozmaitych impertynencyj. Dopóki był zajęty pracami naukowemi, rzadko zadowalał te potrzeby; obecnie gdy ograniczył sie do oświetlania swej osoby, czyni to często. Najświeższym jego przyczynkiem autobiograficznym jest broszura pt. „Mój stosunek do kościoła". Powtórzywszy dawne swoje wyzwania bojowe na stanowisku profesora kilku uniwersytetów w Rosji i w Polsce, opowiada szczegółowo, jak przeradzał się z wierzącego w niewierzącego, jak zrywał związek z kościołem katolickim, jakie miał do tego pobudki, jakie wysuwały się argumenty przeciwko temu postanowieniu, wreszcie przytacza dosłownie swoje podania do władz o przyznanie mu tytułu bezwyznaniowca. „Dla swego t. z. ciała ma wstręt i pogardę" i przeznacza je po śmierci albo do prosektorjum, albo do zachowania w spirytusie, wiarę zaś w nieśmiertelność duszy uważa „za objaw potwornej megalomanji nędznych robaków ziemskich". Jednakże ten „nędzny robak ziemski" ze „wstrętną powłoką cielesną" i z duszą, wobec której dusza psa „ma więcej prawa do nieśmiertelności, niż nikczemne, okrutne i znęcające się nad psem bydlę ludzkie"—sądzi, że jego myśli, będące produktem tego ciała i tej duszy, są prawdami zasługującami na uwagę publiczną. Ale to nie jast największą niespodzianką logiczną. Daleko większą jest to, że autor uważając człowieka tylko za związek chemiczny, rozkładający się po śmierci bez śladu istnienia, przypisuje swoją broszurę „pamięci matki, siostry i dwóch wnuczek". Jakiej pamięci? Przecież te drogie istoty nie zostały nawet zachowane w spirytusie?

Zamiast poważnego rozbioru tego i wszystkich podobnych impertynencyj prawionych bogom i ludziom przez zasłużonego badzacza z jednowymiarowym mózgiem, powiemy ogólnie: p. B. jest okazem dziwnym z nierozwiniętą zupełnie wrażliwością uczuciową i przypomina jednego z owych ślepców w powiastce Wellsa, którzy człowieka widzącego uważali za kalekę i radzili mu wyłupić sobie oczy.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.
WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.
Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI
Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM